

KRAMIENIA

LUBLIN 27 VII 1975 NR 15 (579)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

Zaproszenie do pokera

Mariusz Horyński

SZULERZY grasują wszędzie, gdzie tylko czują pieniądze. Najwięcej kręcą się i szukają kozłów ofiarnych w dni wypłat. Grają w pociągach z tymi, którzy jeżdżą do pracy, w lecie grywają w parkach miejskich lub za miastem na trawce, w lesie, nad rzeką, na plaży. Często szukają znajomości w hotelach robotniczych. Przychodzą wtedy do znajomych, niby wspólnie wypić przyniesioną półlitrowkę. Później proponują małą partyjkę.

Wiadomo, że przy wódce łatwiej jest oszukać i naciągnąć na wyższą grę. Głupich — graczy do towarzystwa — nie sieją, sami się rodzą. Są również szulerskie meliny, zaprzyjaźnione „adresy”. Różny jest ich standard, różne gry i stawki, niejednakowa też cena „karty wstępu”.

W niektórych kręgach lubelskich karciarzy znana była postać Janusza W., zwanego Jasiem — Kolyaką, człowieka, który miał chyba tyle samo wrogów, co przyjaciół. Jaś, b. student kilku wydziałów lubelskich uczelni, uważany był wśród kumpi z branży za doskonale obeznanego z życiem, za „dziecko szczęścia”. Jego kolesie tworzyli coś w rodzaju osobistej ochrony, byli też graczami do towarzystwa, a jednocześnie umawiali daty i miejsca spotkań ludzi pochłoniętych hazardem. Jaś brylował nie tylko na Lubelszczyźnie, miał kontakty prawie w całym kraju, często wyjeżdżał „w delegację”, czy — jak sam mówił — odwiedzić starych znajomych. Po kilku lub kilkunastu dniach podróży po Polsce wracał z grubą gotówką.

Chłopak miał przy tym naprawdę dobre serce. Dbał o rodziców — staruszków, nie skąpił dla nich drobnych pieniążków na upominki z wojaży. Pomagał także swojej młodszej siostrze „wyjść na ludzi”.

Nieraz, po małej wódce, miał chwile zadumy. Obiecywał sobie, że jak nabierze trochę grosza, będzie kontynuował naukę, pójdzie do normalnej pracy. Jaś nie pił dużo, tylko sporadycznie. Swoją abstynencję tłumaczył potrzebą skupienia się przy grze.

Zył z gry w karty, aż pewnego razu, blisko pięć lat temu, nie wrócił... z podróży. Znalaziono go z nożem w plecach. Pozostała rodzina, siostra — już mężatka, grono wiernych kumpi, trochę wrogów

Dokończenie na str. 6-7



Stan Horys.

Fot. Talar

A SYN KOLEJARZ

Maciej Podgórski

OJCIEC
PORZĄDNY

WIELKA musi być na kolei obawa przed zwierzchnością, skoro „Polityka”, publikując dyskusję „maszynistów, instruktorów maszynistów, kierowników warsztatów” (nr 24), nie zdecydowała się ujawnić nazwisk osób wymieniających gorzkie uwagi o kolejnictwie. W każdym razie kolej przedzie raczej cienko, co wynika nie tylko z dyskusji w „Polityce”, ale również z odczuć przeciętnego pasażera, którym bywa niemal każdy z nas. Aczkolwiek podstawowe zadanie upatruje kolej i realizuje w przewozach towarowych — litania skarg pasażerów jest tak długa jak trasa dalekobieżnego pociągu pospiesznego linii transkontynentalnej. Znany to dobrze.

Kompleks pasażera nie osłabionego miewa uzasadnienia, a miałyby jeszcze

większe, gdyby nie zwierzęcy wprost sposób zachowywania się w pociągu niektórych pasażerów. Obejrzałem na stacji Lublin dwa składy pociągów pospiesznych, które wróciły ze szlaku: z Trzebiatowa i Jeleniej Góry. Niedopałki wałają się wszędzie, także w umywalkach wagonowych toalet. Porozwalane torby z truskawkami, jakaś pani porzuciła nawet pończochy (gorąc taki, no i pośpiech). W toaletach wykręcone i ukradzione lustra, w przedziałach wykręcone i ukradzione widoczki, powyrwane zasłonki z okien, ukradzione lafry z przedziałów I klasy (Inlane okrycia podglotków; podobno służą podróżnym do

Dokończenie na str. 4

Refleksje po spotkaniu na kosmicznym szczycie

Marek Adam Jaworski

W 1945 roku żołnierze radzieccy i żołnierze amerykańscy uściskali sobie dłonie nad Łabą, w centrum powalonych, faszystowskich Niemiec. W trzydzieści lat później nastąpiło w kosmosie spotkanie, które tak jak tamto wejdzie do historii: 225 kilometrów nad Ziemią połączyły się „Sojuz” i „Apollo”, splotły się ręce Leonowa i Stafforda.

Nad Łabą nie było kamer telewizyjnych, co najwyżej fotoreporter w wojskowym mundurze uwiecznił te chwile, zdjęcia obiegły prasę światową, później weszły do albumów i książek opisujących ostatnie godziny Trzeciej Rzeszy. Spotkaniu w kosmosie przyglądała się jedna trzecia ludzkości. Mały, szklany ekran w czterech ścianach pokoju przekształcił się w gigantyczną lunetę. Wstrzymując oddechy wpatrywaliśmy się w ostatnie manewry kosmicznych statków, życząc powodzenia tej misji, która, jak żadna dotąd, miała bardziej polityczne niż naukowe znaczenie.

KILKA dni przedtem telewizja nadała krótki film pokazujący na gorąco, bardzo prywatnie, radzieckich i amerykańskich kosmonautów. Widzieliśmy ich baraszkujących razem w basenie, okładających się różeczkami w rzymskiej łaźni. Odprężeni, uśmiechnięci budzili powszechne wzruszenie. Było w tym coś z klimatu pamiętnego spotkania nad Łabą, klimatu braterstwa, wzajemnego zaufania.

W XX wieku kula ziemską zmniejsza się i zmniejsza się nadal. Był czas, kiedy książkę „W osiemdziesiąt dni dookoła świata” traktowano jak fantazję. Ona, jak i późniejsza — „W osiem dni dookoła świata” stanowiły ulubioną lekturę mego ojca.

Ojciec, urodzony w 1897 roku, był chłopcem, kiedy Blériot dokonał na swym jednopłatowcu przelotu przez La Manche. Jaka to była sensacja! A przecież chodziło o drobną odległość między Calais a Dover... Po osiem-

nastu latach przeżył mój ojciec kolejne wydarzenie — samotny lot Lindberga przez Atlantyk. Szczęśliwie dożył jeszcze dni, gdy Gagarin odbył swój pierwszy lot wokół Ziemi, gdy amerykańscy astronauta wylądowali na Księżycu...

Mój dziadek przyszedł na świat, kiedy nie znano elektrycznego oświetlenia, ja sam zjawilem się na naszej planecie, kiedy radio budziło jeszcze sensację, a o telewizji mówiono się jak o żelaznym wilku. Czego świadkiem będzie moja córka?

Zaabsorbowani codziennymi kłopotami rzadko zdobywamy się na głębsze refleksje. A przecież przyszło nam żyć w czasach, które historia uzna może za najbardziej przełomowe w dziejach ludzkości. I tylko od ludzkości zależy, w jaki sposób zostaną wykorzystane dzisiejsze wynalazki i to, co człowiek stworzy jutro. Czy będą one służyć jemu dobru, czy jego zagładzie?

Nie ma obecnie nauki bez polityki i polityki bez nauki. Od pamiętnego spotkania nad Łabą świat przeżył wiele kataklizmów, choć Europa stale uchodziła za jeden z najspokojniejszych kontynentów. A przecież i tutaj rozpościerał się cień „zimnej wojny”, i tutaj żyli ludzie, którzy przez dłuższy czas nie umieli wyciągnąć wniosków z lekcji ostatniej wojny, negowali realia, jakie po jej zakończeniu się ukształtowały. Proces odprężenia, zainicjowany przez kraje socjalistyczne, nie był procesem łatwym, nie tworzył linii ciągłej, pnał się ku górze. Linia ta często zalamywała się, tworzyła zygzyki. Tu i tam powstawały niebezpieczne rafy, wybuchaly konflikty.

Ile trzeba było ponieść wysiłków, aby doszło do pierwszej i drugiej fazy Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, ile długich miesięcy trwały dyskusje! Krok po kroku, zdanie po zdaniu... Ale jednak powstały doniosłe dokumenty, pod którymi złożyły swe podpisy przywódcy 33 krajów europejskich, Stanów Zjednoczonych i Kanady w czasie trzeciej fazy — w Helsinkach. Obok ostatecznego uznania powojennych granic europejskich Konferencja umożliwiła nawiązanie jeszcze ściślejszej współpracy gospodarczej i kulturalnej między poszczególnymi państwami. Pannaje dziś jasność, że niezależnie od różnic ustrojowych — a to jest przecież wewnętrzna sprawa każdego państwa — wiele problemów ma analogiczny charakter i trzeba je rozwiązywać wspólnym wysiłkiem.

Zastanówmy się przez moment. Jest rzeczą oczywistą, że taka konferencja pochłania mnóstwo pieniędzy. Przejazdy delegatów, diety, hotele, tłumacze, cały sztab ludzi... Ale to wszystko kosztuje mniej niż zaledwie jeden międzykontynentalny bombowiec dalekiego zasięgu! Wydaje mi się, że gdyby porównać koszty Kongresu Wiedeńskiego, który na stułecie ukształtował mapę Europy, to za te koszty można by z pewnością uzbroić co najmniej jedną współczesną armię początków XIX wieku. Od tamtego czasu ludzkość

zwiększyła się kilkakrotnie, ale wielokrotnie wzrosła cena zabicia człowieka!

Rzecz teraz w tym, aby proces odprężenia, wzajemnego zaufania uczynić procesem nieodwracalnym. Przywódca ZSRR, Leonid Breżniew, pięknie powiedział do radzieckich i amerykańskich kosmonautów: Wiem, że z przestrzeni kosmicznej nasza planeta wygląda jeszcze pięknie. Jest ona wystarczająco wielka, byśmy wszyscy mogli żyć na niej w spokoju. Jest ona jednak zbyt mała, by można ją bezkarnie straszyc wojną nuklearną.

Odprężenie nie spadło nam z nieba, było poprzedzone olbrzymią liczbą spotkań, dyskusji, rozmów na różnych szczeblach. Właśnie dzięki nim doszło do serdecznego uścisku dłoni Leonowa i Stafforda. Ten uścisk, wymieniony 225 kilometrów nad Ziemią, kończy pewien etap poznawania kosmosu i otwiera etap drugi. Doświadczenie pokazało, że nie ma sensu dublowanie wysiłków, dublowanie kosztów. I Związek Radziecki i Stany Zjednoczone mają swoje sukcesy. Pierwszy satelita radziecki, pierwszy lot Gagarina otworzył drogę kosmonautom, a ściślej astronautom (choć praktycznie nie ma żadnej różnicy między tymi dwoma rzeczownikami) amerykańskim i — co tu dużo mówić — pobudził ich ambicje. Teraz nadszedł sprzyjający czas ku temu, aby osiągnąć nie indywidualne, ale wspólne sukcesy. Należy żywić nadzieję, że do tych sukcesów zechcą wnieść swój wkład i inne kraje. Bo w obliczu otwierających się perspektyw zagospodarowywania planet układu słonecznego ludzkość stanie się jedną wielką rodziną. Szabującą się wzajemnie, tolerującą odmienne przekonania.

Leonow powiedział niedawno: Nad Łabą radzieccy i amerykańscy żołnierze uczcili wspólne zwycięstwo nad faszystem. Trzydzieści lat później, kosmicznym spotkaniem, chcemy upamiętnić zwycięstwo nad „zimną wojną”.

To spotkanie mamy już poza sobą.

w którym żyjemy

PAJĄKI

TELEWIZJA brytyjska BBC też ma kłopoty finansowe. Aby więc podreperować finanse, we wszelki możliwy sposób zabiega o widzów. Ostatnio rozpoczęła nadawanie w codziennym programie dla dzieci o godz. 17.30 serialu pod wspólnym tytułem „Dr Who”. Akcja polega na tym, że ludzie toczą tam ciągłe walki z olbrzymimi, niezwykle krutożęrczymi pajakami, które zawałdowały światem. Już po dwóch odcinkach serial ten wybudził gorące protesty rodziców, a także psychologów i pedagogów, zgodnie twierdzących, że serial wywołuje u najmłodszych najniższe instynkty.

BBC odpowiedziało, że protesty są niezasadne, ponieważ pajaki z serialu są przecież wymysłem i nie mają nic wspólnego z prawdziwymi pajakami. Rodziców to jednak nie przekonało i nadal domagają się zaniechania wyemitowania serialu.

OSTATNIA SZANSA

WBOKSIE zawodowym tak już jest, że nikt nie ma litości nad zwyciężonym mistrzem, zdezonizowanemu niezwykle rzadko udaje się powrócić na ring. Doświadcza tego na sobie były mistrz świata bokserów zawodowych wagi ciężkiej — Foreman. Uważany jest za skończonego i biden z jako tako liczących się bokserów nie chce z nim walczyć. Foreman więc, aby zasilić swoją kase, wymyślił coś zupełnie

oryginalnego: na ringu w Toronto wystąpi jednego wieczoru w toczce z pięcioletnimi zawodnikami, z każdym po trzy rundy. Tego jeszcze nie było.

Tymczasem zaś przygotowuje się do występu w swojej farmie w Kalifornii. Jako sparring-partnerów wybrał sobie kilka sztuk buhajów spośród tych, które hoduje. Jedne rzeczywiście nokautuje, drugie nosi i podrzuca w ręce i na plecach, aby wyrobić sobie mięśnie. Miłośnicy zwierząt oplatania apeli protestujące, ale Foreman nie sobie z tego nie robi.

PLAJTA?

PO 21 latach istnienia coraz mocniej chwieje się finansowe królestwo „Playboya”. Dochody w roku ubiegłym były o 48 proc. niższe niż w roku 1973, hoteli przyniosły 10 mln dolarów straty, nakład magazynu spadł o 250 tys. egzemplarzy, akcje na giełdzie warte są dziś zaledwie 4 dolary zamiast nominalnych 25. Dodajmy, że koncerty „Playboya” poza magazynem pod tym tytułem obejmują 17 klubów ze słynnymi „królikami” czyli dziewczętami „do dyspozycji”, 5 hoteli, 4 kasyna przy, 3 kina, wydawnictwo książkowe, wydawnictwo płyt, wydawnictwo filmowe oraz 2 agencje wynajmu modeli.

Twórca i właściciel koncertu Big Bunny, wprowadza już oszczędności. Zaczął zresztą od siebie, obniżając sobie roczną pensję o 25 proc. z 300 tys. dolarów do 225 tys. dolarów! Likwiduje się różne luksusowe rzeczy — np. stała muzyka na koncertach i w wódkach, kwiaty i kryształ, dywany. Celem podreperowania finansów, Bunny zamierza rozpocząć wydawanie dwóch nowych czasopism — „Zbrodnia” i „Sport”, przypuszczając że znajdą one dużo czytelników. Zamierza także zmienić charakter fot-

ografii publikowanych w „Playboya”. Pismo zrobiło swego czasu karierę na publikowaniu coraz bardziej śmiałych fotografii nagich dziewcząt. Dziś to się już przejadło i Bunny postanowił publikować zdjęcia grupowe — i zarazem mieszane, czyli razem zdjęcia kobiet i mężczyzn. Czytelnice nagoci.

HODOWLA MISTRZÓW?

CHINESKA Republika Ludowa nie mała jeszcze udziału w najbliższej olimpiadzie w Montrealu, wydaje się natomiast, że będzie bardzo zabiegala, aby jej sportowcy mogli wystąpić w roku 1980 na olimpiadzie w Moskwie. Organizacje z nadzieją, że ekipa chińska będzie wtedy już światową potęgą sportową.

Przygotowania już się zaczęły. Ogłoszono pięcioletni plan przygotowań, obejmujący trzy podstawowe dyscypliny: lekką atletykę, pływanie i gimnastykę. Tu brudem można zdobyć stosunkowo najwięcej medali. Plan przewiduje objęcie przygotowaniami kilkudziesięciu milionów chłopców i dziewcząt, podzielonych na kategorie wieku od 10 do 20 lat. Zawodników w wieku powyżej 22 lat uważa się już za weteranów i np. w drużynie piłkarskiej nie może być takich więcej niż czterech. Z tej olbrzymiej maszy ma być wyłoniona tzw. elita, która zostanie poddana bardzo intensywnemu treningowi, aby „wychodzić” ekipę mistrzów.

Plan pięcioletni ustalił minime, które „muszą” osiągnąć każdy młody członek przygotowujący do eliminacji — np. chłopcy w wieku do 10 lat w szoku muszą — 1 metr, dziewczęta w wieku 10-12 lat — 125 cm, chłopcy w wieku 16-18 lat 14,4 sek. w biegu na 100 m. Trudno dziś przewidzieć, jakie będą ostateczne wyniki. W każdym razie przeliczone minima nie są wysokie.

GARMONDEM

NAMAWIAMY turyistów, krajowych i zagranicznych, aby przyjeżdżali do Lublina i tu zostawiali złotówki oraz dewizy. Zbożne życzenia. Powstaje tylko pytanie, za co mają je zostawić, jeżeli chodzi o tzw. usługi kulturalne?

Oto króciutki bilans. Z trzech teatrów — wszystkie zamknięte, Filharmonia na urlopie. Jedynie kino letnie zlikwidowane. Studium Dramaturgii Współczesnej zamknięte. Klub MPIK w niedziele nieczynny, w dni powszednie tylko do godz. 18. Muzea otwarte do godz. 16, na Majdanku tylko do godz. 15. Klub na Bronowicach ogłasza w prasie, że wynajmuje pomieszczenia na zebrania i posiedzenia (a niby jaka między nimi różnica?). Gastronomia zrezygnowała nawet w strip-teasu.

Dodajmy, że trzy przyległe województwa nie posiadają ani teatru, ani filharmonii, ani klubu MPIK i tylko jedno kino letnie.

Więc z czym do gości?

JOD

GDYBY mieszkańcy Dębina mogli zrealizować swoją propozycję, naczelnik tego miasta musiałby codziennie moczyć nogi w bardzo leźniczej wodzie, a polem oklejać je wielkimi plastrami. Gdy bowiem pod koniec pierwszego roku swego urzędowania oddał do użytku mieszkańców pierwszą wyasfaltowaną w tym mieście ulicę, odbyło się na tej ulicy coś w rodzaju ludowego festynu. Zamknięto wjazd i wyjazd, zagrała orkiestra i na nowej jezdni, zanim zaczęły ją używać samochody i wozy, przez wiele godzin tańczyli okoliczni mieszkańcy. Jakiś głos kobiecy krzyknął wtedy: złote buty dla naczelnika! Spokojnie się to z powszechną i gorącą aprobatą, a chociaż do realizacji propozycji ze zrozumiałych względów nie doszło, wieść o tym jest żywa do dzisiaj. Była to bowiem pierwsza ulica, na której ludzie przestali gubić buty w błocie.

Ale to był tylko skromny początek. Dębina jest miastem rozległym, dorównuje powierzchni Chelma, chociaż ma „tylko” 17.000 mieszkańców i po Puławach oraz Świdniku jest trzecią największą gminą w województwie lubelskim. Łączna długość ulic sięga osiemdziesięciu kilometrów i dziś już ponad osiemdziesiąt procent posiada nawierzchnię asfaltową.

Trzeba powiedzieć prawdę, że w poprzednim układzie terytorialnym Dębina nie miał szczęścia. Gorzej — miał wyraźnego pecha. Położony na skraju województwa warszawskiego i powiatu ryckiego, jaśniał tylko jedną rzeczą: tradycją i współczesnością lotnictwa wojskowego. Odgrywał też pewną rolę jako ważny węzeł kolejowy, który jednak już od początku podzielił miasto na dwie części. A właściwie z jednej strony ulokowała się zbudowana przez władze carskie twierdza Dębina, z drugiej miasto Irena, obie miejscowości należące przed wojną do powiatu puławskiego. W całość połączyły się dopiero za naszych czasów i co starsi mieszkańcy jako miejsce urodzenia do dzisiaj mają wpisane w różnych dokumentach nie istniejące już miasto Irena.

Pech odezwał się znów w latach pięćdziesiątych, gdy ktoś zdecydował, że władze nowego powiatu należy zlokalizować we wsi Ryki, którym pospiesznie dano statut miasta. Ryki więc bogaciły się w przemysł i urządzenia komunalne, domy mieszkalne i sklepy, a Dębina nadal wegetował gdzieś na peryferiach, polykając tylko resztki powiatowego budżetu. Np. 1,5-2 miliony złotych rocznie na gospodarkę komunalną, co nie wystarczało nawet na wybudowanie jako tako przyzwoitej ubikacji przy siedzibie władz miejskich. Zresztą i posterunek MO mieścił się w budyńcu, który jeszcze władzom carskim służył jako areszt.

I nie tylko to. Jest to chyba jedyne miasto w Polsce, które nie posiadało i nie posiada do dzisiaj nawet projektu zagospodarowania przestrzennego. Nie było i nie ma także ani wodociągów, ani kanalizacji, ani oczyszczalni ścieków, ani gazu, chociaż gazociąg przebiega osiem km od miasta, ani nawet jednego jako tako przyzwoitego lokalu dla działalności kulturalnej. Nie więc dziwnego, że potencjalni inwestorzy stronili od niego jak od ognia i nie ma tu żadnego zakładu przemysłowego, który mógłby być czynnikiem miastotwórczym. Wielka Encyklopedia Powszechna podaje, że w mieście istnieją „zakłady przemysłu materiałów budowlanych”. Rzeczywiście istnieją, zatrudniając wszystkich 15 ludzi...

Myślę, że szczęście po raz pierwszy uśmiechnęło się do Dębina dopiero przed pięć laty, gdy naczelnikiem miasta został Kazimierz Deska, dębiniarz z dziada pradziada, który poprzednio przez 31 lat pracował w miejscowym węźle kolejowym. I który zastępczo pełnił funkcje nie istniejącego biura hipotecznego, znając osobiście prawie wszystkich mieszkańców oraz ich skomplikowane spadkami i żeniactwami interesy własnościowe działek.

Przez pierwszy miesiąc po nominacji — powiedział naczelnik — to tylko watydzilem się, że właściwie za darmo biorę pieniądze, bo wszyscy mówili, że w kasie miejskiej nie ma ani grosza. Gdy jednak zdecydowałem się na osobiste wejście w te sprawy, okazało się, że na cztery ostatnie miesiące roku mamy sześć milionów. Postanowiłem w pierwszym rzędzie zająć się ulicami. Tylko kilka miało kocię lby, reszta to bajora, ani metra kwadratowego asfaltu. Dzięki znajomościom lubelski Woj. Zarząd

Dróg Publicznych zrobił błyskawicznie dokumentację, a warszawski wykonał roboty wartości trzech milionów. W Pruszkowie znalazłem wykonawcę oświecenia, jak nigdzie siedział on u nas cztery lata, ale dzisiaj wszystkie ulice posiadają rzeźbiki. A już na 60 km ulic jest asfalt, za rok będzie na wszystkich. Głównie dzięki temu, że więcej niż połowę robót wykonuje ludność w czynach społecznych. Napędową siłę tych czynów tworzą wojsko i kolejarze, wojsko pomaga również wszelkiego rodzaju sprzętem.

Wszystko to potwierdza sekretarz Komitetu Miejskiego PZPR, Barbara Zawacka, kobieta młoda, uroczą i energiczna, również urodzona dębini-

nom społecznym położyliśmy już pięć kilometrów.

W tej chwili główną inwestycją Dębina jest wiadukt kolejowy u wylotu ul. Warszawskiej na szosę z Warszawy do Puław i dalej do Lublina. Ruch na torach kolejowych jest wielki, pociągi osobowe i towarowe, podobnie jak przetoki z linii na linię, muszą kursować punktualnie, bo inaczej odczuje to pół Polski. A po obu stronach szlabanu tworzą się długie kolejki samochodów, wozów i ludzi. Ludzie spieszą się, klną, ale muszą czekać, zwłaszcza że dwóch kolejarzy stale pilnuje tu porządku.

Obietnice budowy nowego wiaduktu mają już ponad 20 lat. Przed trze-

nie takie pędróżki, statystyki dyskretne milczą. Więc przyszłego kierownika tej placówki czeka orka niesamowita. Trzeba mieć nadzieję, że władze miejskie postawią kandydatem wysokie wymagania, ale i odpowiednio wynagrodzą pionierską robotę.

Czytelnictwo gazet też nie może się tutaj poszczycić specjalnymi osiągnięciami. Prawdę powiedziawszy nikt nie jest w stanie rozszyfrować zagadki, ile gazet czy książek czytają mieszkańcy Dębina. Kolejarze, główny „potencjał ilościowy” wśród ludności, jeżdżą po całej Polsce i kupują gdzie popadnie. Wielu ludzi codziennie lub co tydzień dojeżdża do pracy w Warszawie, Puławach, Lublinie i trudno

ZŁOTE BUTY DLA NACZELNIKA

Jerzy Dostatni

nianka. Przed kilkunastu dniami byli w Dęblinie: I sekretarz KW Wójcik, wojewoda Stepien i sekretarz KW Mizera, zapoznając się na miejscu ze sprawami miasta. Wojewoda nakazał natychmiastowe podjęcie prac nad planem zagospodarowania przestrzennego, wytyczono już duży plac pod zakład przemysłowy, obiecując na zburzenie zorganizowanie pracy chałupniczej dla kobiet. I obiecano pomoc w trwającej właśnie budowie wodociągów.

Najcięższym problemem będzie sprawa mieszkań. Naczelnik powiada, że na 2850 domów w mieście 80 procent pochodzi sprzed pierwszej wojny światowej i właściwie należy zburzyć co czwarty. Zresztą są to domki najwyżej trzyrodzinne, chociaż w tych jednorodzinnych, często tzw. trocinówkach, mieszkają po dwie, a bywa że i po trzy rodziny. Wystarczy pójść na główną ulicę Warszawską: wprawdzie szczyty się ona piękną jezdnią i ładnymi drzewami, ale chatynki wielkim głosem wołają o buldożery. Sekretarz dodaje, że jedno przedszkole mieści

ma laty władze miejskie zwróciły się już wprost do ministra Komunikacji. Obiecano, że inwestycja rozpocznie się „ostatecznie” w 1973 roku. Ale nie rozpoczęła się. Obiecano na rok 1974, ale wtedy okazało się, że są pieniądze i część dokumentacji, jednak brak wykonawcy. I kto wie jak długo trwałby ten kontredans „ostatecznych” terminów, gdyby władze miejskie nie wzięły na siebie — chociaż nie dysponują żadnym przedsiębiorstwem, tylko tzw. grupami wykonawczymi — robót drogowych i przygotowawczych, które rozpoczęto już w ub. roku. Przy tej okazji m. in. zburzy się domek, w którym od dzieciństwa mieszka naczelnik. W chwili sentymentalnej szcerości powiada, że nawet trochę mu go żal, ale — itd.

Objedźdam miasto i stwierdzam własnymi oczami, że nie ma ani krzty przesady w relacjach o asfaltowanych i oświetlonych ulicach. Mieszkańcy ulic Stawskiej, Ogrodowej, Asnyka i Zatylniej w ciągu 3 miesięcy wykonali w czynach społecznych roboty

wymagać, aby wspomagali tylko dębiniarskie kioski.

Ale wracajmy na trasę objazdu. Oto pola przy ul. Jagiellońskiej, na których kołysze się rzadkie, anemiczne żyto, bo ziemia tu dla rolnictwa podława. To tereny przyszłego budownictwa jednorodzinnego, na które jest wielu kandydatów. Teren wytyczono, lecz z podziałem na działki będą kłopoty, po prostu brak jakiegokolwiek pomiarów geodezyjnych. Ale Lublin znów przyrzekł szybkościową pomoc i są szanse, że plan będzie gotowy w przyszłym roku. Sekretarz jest zdania, że budowę należy zacząć dopiero po uzbrojeniu terenu, ale na ucho przyznaje, że chyba nie wszyscy będą chcieli poczekać.

Osiadłe Wiślana powinno być dumą Dębina, ale nie jest. Z dwóch powodów. Bloki powstały w okresie szczytowym tzw. budownictwa oszczędnego, więc ani architektonicznie, ani funkcjonalnie nie cieszą nikogo, chociaż bez nich byłoby znacznie gorzej. Po drugie — zabrakło tu ręki gospodarza. Zamiast trawników jakieś kępki dzikiej trawy i chwastów, ani śladu kwiatów, żadnych urządzeń dla dzieci, żadnej ławeczki dla starszych. Tylko koło trzech czy czterech bloków trochę więcej porządku. Dlaczego nikt nie chce tu uprzyjemnić życia sobie, swoim dzieciom i najbliższym sąsiadom? Tysiące przykładów w całej Polsce świadczą, że można to zrobić niezbyt wielkim wysiłkiem i prawie żadnym kosztem. A dlaczego nie w osiedlu Wiślana?

Po drugiej stronie drogi biegnącej na Warszawę ma powstać całkiem nowe osiedle Młynki, na dwadzieścia tysięcy mieszkańców. Niemal tuż nad Wisłą, ujazdżoną już na dobre solidnymi wałami. Ale to projekt, który nie przekształcił się jeszcze w koncepcję urbanistyczną. Nieco bliżej miasta, koło tzw. szkoły żon — kombinatu szkół zawodowych o specjalnościach raczej kobiecych — naczelnik rysuje w powietrzu zarysy stadionu, pływalni, małych boisk — obiektów, których Dębina nie posiada.

— Teraz, po odwiedzinach gospodarzy województwa, a potem rozmowach w samym Lublinie — powiada sekretarz Zawacka — naprawdę chce nam się żyć. I naprawdę bardzo żałuję, że odchodzę na trzydziestni studia i nie będę mogła brać udziału w realizacji tego, co w tym czasie czeka nasze miasto.

PS. Celowo nie rozwijałem tematów, które w dotychczasowych publikacjach o Dęblinie były zawsze eksponowane: szkoła lotnicza i węzeł kolejowy. Ich stałej i życzliwej pomocy miasto zawdzięcza wiele, może nawet więcej niż dawnym władzom powiatowym w Rykach. Ale właśnie chciałem pokazać potrzeby Dębina, nie przesłonięte tymi dwoma pięknymi wizytówkami. Potrzeby, w których systematyczne rozwiązywanie przez wojewódzki Lublin mieszkańcy tego miasta bardzo wierzą.



Takich drewnianych domków w śródmieściu Dębina jest wiele.

Fot. J. Trembecki

się w budynku (?) sprzed 150 lat, drugie jest w szczęśliwym położeniu — rudera ma tylko 80 lat.

— W ciągu pięciu lat mojej pracy — dopowiada naczelnik — na budownictwo rady narodowej nie otrzymaliśmy ani grosza, a spółdzielnia w Rykach przekazała u nas do użytku wszystkich 135 mieszkań. W kartotekach mamy 800 wniosków o mieszkania, z tego 400 wnioskodawców jest jako tako cierpliwych, ale 400 codziennie próbuje mi urwać głowę...

— A budujące się wodociągi — dodaje sekretarz Zawacka — to u nas nie tylko sprawa wygody. Nasza woda podskórna, która zasila studnie, jest paskudna, powoduje przyspieszoną próchnicę zębów, a także stale naruszające fale żółtaczki. Jest to więc sprawa zdrowia, a bywa że i życia. Rozumieją to mieszkańcy. Gdyby budowę wodociągów ograniczyć do oficjalnej inwestycji, mielibyśmy dotychczas tylko jeden km sieci. Dzięki czy-

wartości 2,5 mln złotych — które przedsiębiorstwo może „poszczylić się lepszymi rezultatami? W tejże dzielnicy o dziwnej nazwie Mierzwica również w zycie społeczny buduje się na działce gromadzkiej dzielnicowy dom kultury. Nazwa szumna, chociaż budynek niewielki, parterowy, przypominający raczej wiejską świetlicę. Ale na początek dobre i to, a najważniejsze, że obiekt buduje się z inicjatywy mieszkańców i dzięki ich pracy.

Zresztą niedaleko powstaje większy obiekt. Jest to właściwie rozbudowa jedyne kina miejskiego „Irena”, które obok kilku dodatkowych pomieszczeń na różną działalność kulturalną otrzyma także scenę, umożliwiającą występy estradowe, a nawet teatralne. Jak dotychczas Dębina takiej sali nie posiadał, co oznaczało, że na spektakle teatralne czy występy estradowe trzeba było jeździć do Lublina lub Warszawy. Ilu było chętnych na

OJCIEC PORZĄDNY A SYN KOLEJARZ

Dokończenie ze str. 1

czyszczenia butów), wyrwane podłokietniki (żeby zamontować nowe, trzeba rozkręcać całe siedzenie), odkręcone i ukradzione pokrywy na sedes (czasem giną całe sedesy; „wiesz się rozwija, proszę pana” — jak powiedział jeden z kolejarzy).

Opowiadano mi na miejscu o pociągach siedzeniach, kradzieży gąbki z kanap, o jednym obywatelu, który całe oparcie wymontował i wyrzucił przez okno (pasowało mu na siedzenie do wozu konnego), o wyrwanych przełącznikach elektrycznych, oprawach lamp, o rozbitych lub ukradzionych sygnalach końca pociągu (co już jest zbrodnią, wobec której paragraf mocny aż się prosi). Zeszłoroczne straty wagonowni na stacji Lublin z tytułu dewastacyjnej działalności podróżnych wyniosły ponad pół miliona złotych (głównie kradzież luster, laurów i wybite szyby). Przyszan, że wobec tej sytuacji ogarnia mnie zyczajny wstyd. Przypuszczałem, że bywa rozmaicie, nie sądziłem, że jest tak źle, ale nie o wstyd idzie. Wybite szyby, zdemontowane sedesy powodują, że wagony muszą iść do naprawy, a nie na trasę. Z rezerwą wagonów zaś jest bardzo kruczo, więc i z winy podróżnych nie zawsze kompletne składki wychodzą na szlak. *Gaheja, panie, najgorsze trasy — żartuje jakiś kolejarz.*

Sprzątaniem wagonów zajmuje się w Lublinie Spółdzielnia Pracy Usług Komunikacyjnych i Różnych. Zajęcie to podejmują przede wszystkim nie wykwalifikowane kobiety z okolicznych wiosek. Zarabiają — w akordzie — około 2500 zł. Ale i tak chętnych nie ma za wiele, bo praca jak na śmietniku, a sprzęt prymitywny: szczotka i szmata. Były ongiś odkurzacze przemysłowe polskiej produkcji, zbyt ciężkie i ciągle psujące się. Wycofano. Ostatnio spółdzielnia eksperymentuje z jednym plecakowym odkurzaczem szwajcarskim. Kropla w morzu. Spalarni śmieci na dworcu brak, jest tylko zwyczajne wysypisko. Urządzeń do odgazowywania wagonów (środek przeciw robactwu) również brak, trzeba ślać tabor do Opola lub Pruszkowa. Nie ma myjni zewnętrznej taboru, kobiety pracują szczotkami na długich kijach. Nie wystarczy to na górne szyby w wagonach piętro wych i dachy wagonów. Jeśli jest alternatywa: wysłać wagon brudny lub nie wysłać go wcale — wybiera się to pierwsze, bo lepiej podróżować w brudzie niż nie podróżować w ogóle. Trasy podmiejskie — rozpacz kompletna. Wagon schodzą z odcinka jak stajnie. Kim i czym je sprzątać?

Dworzec lubelski, którego budynek figuruje dziś w rejestrze zabytków, był budowany w latach 1875—1877 dla 26-tysięcznego wówczas Lublina, miasta gubernialnego, i służył sławnej kolei nadwiślańskiej. Potem były dobudówki, przebudowy i modernizacje. Niewiele to jednak pomogło i obiekt jest obecnie po prostu za ciasny. Teraz w ciągu doby przewija się przez dworzec ponad 30 tysięcy podróżnych. Zresztą cała stacja towarowo-osobowa, zlokalizowana pośrodku miasta, też za ciasna, a możliwości rozbudowy brak. *Głupia sprawa — powiada zastępca naczelnika stacji, Edward Piętka, młody człowiek, kolejarz od trzech pokoleń. — Nie mamy nawet parku postojowego, odpowiednich myjek. Słukiwane brudzi lecą na tor. Po drugiej stronie Wisły stacje pracują w lepszych warunkach.*

Rozmowę z Andrzejem Koncerewiczem, zastępcą naczelnika wagonowni, rozpoczynam od pytania o hale do ze-

stawiania składów. „Ja tu wszystko mam w biurku — mówi. — Zdjęcia, jak to powinno wyglądać. A na razie martwimy się, żeby tory odstawcze leżały idealnie poziomo, bo inaczej instalacja ogrzewania w wagonach piętrowych nie odwadnia się, woda zimna zamraża, rozsada rury i wagonu nie można puścić na trasę. W zeszłym roku piętrowce całą zimę przestali. Wagon towarowe okrągły rok robi się pod gołym niebem. Halę napraw i przeglądów wagonów osobowych sam pan zobaczy. Ciężkie warunki do obrządzania składów...”

Dwu- i trzyosiowe wagony przedwojenne (osobowe) już zostały wycofane z Lublina. W ogóle tabor jakby coraz nowocześniejszy. NRD-owskie piętrowce niezastąpione na liniach podmiejskich, bo jadowe (w kolejowej nomenklaturze nazywają się „Bipa”; B — znaczy II klasa, i — bezprzewodniowy, p — piętrowy, a — układ czterowagonowy). Tylko to zaplecze. Ponieważ drewniak hali napraw wagonów sypie się i cieknie. Nie ma gdzie rozmarzać wagonów, chyba że na chuch. Instalacja do wodowania wagonów (napełniania zbiorników) zimną zamarza, trzeba się porządnie nagimnastykować, żeby pociągi nie chodziły „na konewki” (przynajmniej składki dalekobieżne).

Przyszan, że najbardziej ciekaw byłem lokomotywni, a ściślej — parowozowni. Majestatyczny urok parowozu w stylu „retro” i tak dalej. Umieranie parowozów i tak dalej. Urok urękiem, umieranie umieraniem, ale parowozy z pożytkiem służą nadal, choć o części coraz trudniej i żeby jeden wyremontować, trzeba niekiedy dwa gorzej i wysłużone rozobrać, co się da, wykorzystać, a resztę pociąć na złom. Parowozy więc umierają przez pocięcie, aczkolwiek nie całkiem, bo żyją w swych wyremontowanych współbraciach.

Ostatni model polskiego parowozu został skonstruowany w roku 1951 (Ty-51), lecz jeżdżą też starze, i to całkiem twardo: z 1931 roku (Pi-31) i z 1937 (Pm-37). Parowóz waży około 100—120 ton, uciążliwie do 1700 ton, na odcinku 100 km może spalić osiem ton

węgla. Owe osiem ton musi pomocnik maszynisty przerzucić ręcznie z tendra do paleniska kotła, chyba że obsługuje Ty-51, który ma automatyczny podajnik węgla. Maszynista, który ciągle wychyla się przez okno, żeby śledzić szlak, najciężej zimą, kiedy połowę ciała nieustannie wystawia na lodowaty wiatr, a drugą połowę tkwi w kabinie w temperaturze 50 stopni plus. Paraliż można się nabawić.

Podobno do roku 1980 w lubelskiej lokomotywni trakcja parowa ma być w całości zastąpiona przez trakcję spalinową i elektryczną. Zresztą od paru lat Lublin posiada lokomotywy spalinowe. Jednostki elektryczne i elektrowozy. Te ostatnie mają uciążliwie do 2500 ton, mimo hałasu stwarzają znośniejsze warunki pracy niż parowozy, ponadto są bezpieczniejsze, bo wyposażone w urządzenie SHP, tzw. drugiego maszynisty (jeśli żywy maszynista zagapi się lub zaśnie przed zwrotnicą czy semaforem, urządzenie wpięty zapala lampkę, potem dzwoni, a w końcu wyhamowuje pociąg).

Najstarsze budynki lokomotywni sięgają lat kolei nadwiślańskiej, późniejsze — okresu ostatniej wojny, tylko hala napraw elektrowozów i jednostek elektrycznych została zbudowana niedawno, w 1972 roku, jako inwestycja czynowa załogi. Postój jednostek elektrycznych i elektrowozów odbywa się pod chmurką. Hale remontowe parowozów i lokomotyw spalinowych sypią się ze starości, w kanałach stoi szlam lub woda, gdyż odprowadzenie ścieków bardzo mizerne. Stanowiska diagnostycznych — poza stołem probierczym do sprawdzania pomp wtłokowych — nie zauważyłem. Ciasnota — jak wszędzie.

Po lokomotywni cierpliwie oprowadzał mnie Jerzy Milkowski, kontroler oddziału trakcji, mężczyzna w średnim wieku, który swoje prawdy o życiu już zna. Powiada, że pracę na kolei rozpoczął w czasie okupacji jako niepełnoletni chłopak. Miał kontakty organizacyjne, kazali mu rozglądać się, jakie transporty przychodzą i odchodzą. Rozglądał się, informował kogo trzeba. Po wyzwoleniu został na kolei. Pamięta pierwszą pensję we wrześniu 1944 roku — kilogram drożdży i 1000 złotych polskich. Za drożdże można było nabyć u chłopca 30 kg kartofli (chłopu drożdże do bimbru potrzebne), za 1000 złotych polskich — 3 kg mięsa. 8 maja 1945 roku wyruszył do Berlina jako palacz parowozu ciągnącego specjalny pociąg wojskowy. W Berlinie był miesiąc — w historycznym momencie, ale to inna sprawa. Potem także pracował jako palacz, przez rok był maszynistą, 18 lat dyspozytorem parowozowni, skończył zaocznie wieczorowe technikum kolejowe, awansował. Jest trochę rozgoryczony, nerwowy. Dziś młodym nauka i awanse łatwo przychodzą, a oni mądrzą się i w papierki bawia, co powinno być, czego zaś nie powinno być. Może i powinno, ale pracować trzeba w takich warunkach

jakie są, bo warunków nie przeszkadzają, a warunki są ciężkie. Bardzo ciężkie.

Jerzy Milkowski niby to nosił się z zamiarem odejścia z kolei, ale nie odszedł. Naczelnik Koncerewicz powiada o sobie: ojciec i matka porządni, a syn kolejarz, ale na kolei siedzi, choć jego koledy ze studiów porzygnawali. Naczelnik Piętka jest od trzech pokoleń kolejarzem, ale powiada, że ranga społeczna zawodu wydaje mu się mizerna. Wiesław Wojaśiewicz, chemik z wykształcenia, pracownik DOKP Lublin, pełniący m.in. funkcję rzeczownika prasowego, jest z zamiłowania historykiem lubelskiego kolejnictwa, szerokotorowego i wąskotorowego, a gdyby na terenie DOKP istniały kolejki linowe, to byłby również historykiem kolejek linowych. Pracownicy wagonowni wzniesli w czynie społecznym budynek administracyjno-socjalny, pracownicy lokomotywni — szatnię, łaźnię i halę remontową. A. Lipowski, E. Ulewicz, J. Zieliński i M. Dulniak z wagonowni zostali nagrodzeni w turnieju młodych mistrzów techniki za skonstruowanie sieci ładowczej baterii akumulatorów w parku postojowym, ale niektórzy z tego zespołu opuścili koleję. Więc jacy w końcu są ci kolejarze? I co ich trzyma w kolejnictwie? Pieniądze (umiarkowane raczej), ranga społeczna zawodu (różnie o tym mówią), zamiłowanie?

Kiedy rozmawiałem z naczelnikiem Piętką, do pokoju wkroczył podenerwowany nastawniczy: *Panie naczelniku, co ja mam służyć dwadzieścia cztery na okrągło! Nikt się nie zapyta, a może nie masz wyznaczenia, a może nie możesz służyć? Smaga miał załatwić podmiejskie i nie ma Smagi, i nie ma podmiejski! Sprawa. Co ze Smagą, gdzie jest Smaga? Smaga pewno po Lublinie leżdzi i z chałtury ludzi wyciąga, żeby podmiejskie załatwić. Siano się kosi, to już ci ze wsi do roboty nie stają na kolei. I co takim zrobić? Ludzi nam brak, więc ich nie zwolnisz, a z potrącenia promiły kpinki sobie robią. Chłopo-kolejarze — powiada naczelnik Piętka. Więc bywa i tak. I może to jest właśnie podstawowa trudność naszego kolejnictwa, która w połączeniu z nie najlepszym stanem zaplecza technicznego i niską kulturą podróżowania w narodzie daje ów splot trudnych spraw, niemożliwy do natychmiastowego rozwikłania.*

Jeden z uczestników dyskusji w „Polityce” stwierdził: *Zbyt wielki jest rozróżnienie między społecznymi potrzebami i oczekiwaniami, szybkością i radykalną poprawą a możliwościami osiągnięcia tej poprawy. Nawet przy maksymalnie sprzyjających warunkach postęp może być tylko stopniowy i powolny, a ludzie chcieliby natychmiast efektów. Co za przyjemność być ministrem (komunikacji), kiedy tak niewiele można szybko zdziałać.*

Rozpocząta w roku 1970 budowa stacji rozrządowej Lublin — Tatarsy, obliczona na 15 lat (kopalnie buduje się 18 lat), od początku właściwie boryka się z brakiem wykonawstwa. Zrealizowanie tej inwestycji pozwoliłoby zabrać cały prawie ruch towarowy ze stacji Lublin na rzecz generalnej poprawy obsługi podróżnych, warunków technicznych oraz socjalnych pracy kolejarzy. Od 1970 roku władze miejskie, DOKP i SARP w Lublinie próbują porozumieć się w sprawie konkursu na budynek dworca PKP (łącznie z dworcem PKS) wraz z terenami miejskimi, przyległymi do obiektu. Do tej pory konkurs nie został ogłoszony. Chyba zasadniczą trudnością nie stanowi tu konieczność zachowania zewnętrznej architektury i elewacji istniejącego budynku dworca PKP. Oczywiście, nie należy się ludzi, że rozstrzygnięcie takiego konkursu automatycznie uruchomi samą inwestycję. Wszelako grunt byłby już przygotowany, a zmodernizowana stacja osobowa „Lublin Główny” (taką nazwę proponowałbym), jako naturalna konsekwencja budowanej stacji rozrządowej Lublin — Tatarsy, to zmodernizowany układ torowy, nowe krawędzie peronowe, tunele pasażerskie i bagażowe. Dla tych celów, w dalszej konsekwencji, trzeba by zająć część dzisiejszej wagonowni i lokomotywni, którym i tak należałoby znaleźć nową lokalizację.

Takie są gołe fakty i takie są węzły nuch dziennikarskie dwugłose. Nie jestem fachowcem i mogę się mylić. Może zatem znalazłby się ktoś, kto pomógłby to wszystko zinterpretować? Zebyśmy lepiej zrozumieli sytuację kolei i perspektywy kolei.



Fot. W. Wojaśiewicz

Hanna Terpilowska *)

POŻEGNANIE

przyjaciółom

Jeszcze liść zerwać w pośpiechu odliczania kroków
dni rozpięte na żerdziach światów i nocy
wepchnąć w kieszenie
oszuścić siebie

i chmurę kurzu czarną stępem zostawić na drodze
oczy ukryć
trwałość spojrzenia
w pogromie oddalenia chwili

dłoń
chłód nieuniesionych kamieni
wyminać pogodą słońca
nim znów przyjdą deszcze

*) Autorka, która przed kilkoma laty w ramach łączenia rodzin wyjechała na stałe do RFN, nadal pisze wiersze w języku polskim.

Andrzej Szerlak

WIZYTACJA

WŁASNEGO POGRZERU

Najpierw staną kobiety.
Białe piersi i czarne kapelusze.
Dwoistość trumny musi współżyć z postaciami
Towarzyszącymi mojemu spoczywającemu ciału.

W niebie posadzę rząd fortepianów
Z klawiszami wspaniałych gier miłosnych.

Grabarze przyjdą z ekranami na plecach.
Na nich żona pokaże nasze stosunki.
Sprawy łózkowe muszą poruszyć wszystkich zebranych.

Trumna przez otwarte wieko strzeli sobie kielicha.

Kolega ze szkolnej ławy siądzie w pierwszym pułapie.
Będzie bawił się w pilota
Kierującego swawolnymi zabawkami wróżb.

Trup musi być naprawdę martwy.

Krzysztof Paczusi

DO PRZEŚWIETNEJ GENERACJI

— nie zwracajcie mi głowy waszą
znajomością świata waszymi
genialnymi wierszami o niewymyślonych
problemach i prostych jak światło
metaforach

jednym ruchem fioletowych rąk potrafię
was wszystkich wyłączyć jak tego
czarnobiałego fagasa w okularach
który wieszczę na jutro mróz
i deszcz ze śniegiem

— jeśli będziecie mi grozić schizofrenią
narkomanią czy innymi tego rodzaju
bzdurami przy pomocy których chcecie
skomplikować czy może (cholera was wie) uprościć
świat to obiecuję wam szczerze że tutaj
na oczach KONTESTACJI — muzy pięknoduchów
o rubinowym spojrzeniu i płochliwym tonie
wyrzucam Cortazara i podłożę sobie
pod rozdzrganą język krzepiącą tabletkę ogniem
i mieczem

Tadeusz Piekło

Z ŁAWKI VI

Półnowiosenny zmierzch się zniża,
Wigórze się w czarna zieleni stroi.
Nad Katedrą stoją krzyże
W bladobiałym niebie pokoju.

Tędy kołowało ból swój niosąc,
Ostatnią rozpacz bez nadziei.
Jak w tyle innych, przeszłych wiosen
Książyc tka w parku ścieżki z białej.

Przygodny przybysz — zegnam chmury,
Kilku przyjaciół, ulic stronom...
Strzelista gra architektury
Wtórnie zmilkłym dniom i dźwiękom.

W chóry alumnów słowik wopnie
Niedużą, cienką kolig pieśni.
— w mrocznych archiwach śpią stulecia —

Przez sady biegna bezszelostnie,
Nierzeczywiste, niby we śnie,
Białawe, kocie tapki kwiecista.

KULTURA w obrębie aglomeracji Lubelskiego Zagłębia Węglowego — dziennikarskie rozważanie tej kwestii teraz, kiedy to wielkie przedsięwzięcie gospodarcze nie posiada jeszcze skończonego kształtu, może wydać się czymś przedwczesnym, czy nawet żenującym. Ludzie, którzy uruchamiają zagłębie, mają obecnie tyle ważnych i podstawowych spraw inwestycyjno-badawczych na głowie, że ględzenie o domach kultury, kinach, klubach czy muzeach zdaje się przypominać malowanie ścian przed postawieniem budynku. Czy nie racjonalnie byłoby poczekać, aż zbudujemy kopalnię oraz przykładowe osiedla mieszkaniowe i dopiero wtedy sformułować listę potrzeb kulturalnych, zaopatrzoną w program inwestycyjny?

Na pozór są to pytania retoryczne, każdy zdrowo myślący człowiek odpowie bowiem, że kultura jest integralnym elementem życia społeczno-gospodarczego, nie ornamentem, lecz ważną częścią składową tej rzeczywistości, a zatem odkładanie jej na później, na deser, nie może wchodzić w rachubę. Tak sądzi oświecone społeczeństwo, tak myślą władze i różni sympatyczni ludzie zajmujący się modelowaniem procesów kulturowych. Wspólnota zapatrywań powinna owocować w sposób oczekiwany, a tymczasem obserwujemy całkiem inne zjawisko. Przy dużych fabrykach istnieją karłowate kluby i domki kultury, filmy wyświetla się w barakach, a tańce salonowe odbywają się na kiepiskach lub w stolówkach pracowniczych dekorowanych okazjonalnie girlandami bibuły marszczonej i kilogramami waty — zależnie od pory roku i wyobraźni plastycznej organizatorów.

To już żelazna reguła: jeśli równoległe z budową zakładu produkcyjnego nie wznosi się odpowiedniej placówki kulturalnej, pozostaje ona w sferze narzeń niespełnionych. Z rozmachem zaprojektowany środek kultury puławskich „Azotów”, który zaczęto realizować po zakończeniu głównego etapu fabrycznej inwestycji, zdążył tylko wystrze-

lić okazałymi murami i w tej postaci od dawna stoi. Jeśli podobny los spotkałby na przykład wytwórnię szuwaku czy makaronu, biegli rachmistrze obliczyliby zaraz, ile to złotych dziennie traci społeczeństwo na zahamowaniu budowy. Nikt jakoś nie próbuje zbilansować strat, jakie w świadomości zbiorowej przynosi blokowanie inwestycji kulturalnych. Jeśli w tych samych Puławach otwarto imponujący ośrodek sportowy z krytą pływalnią, to wcale nie znaczy, że zatławiono coś istotniejszego dla dobra kultury. Coraz częściej powątpiewam w wychowawcze oddziaływanie sportu, który dzisiaj odstaje mocno od idei szlachetnej rywalizacji i rozwijania tzw. tężyzny fizycznej. Kibice oczekują gwałtu i zwycięstwa za wszelką cenę, pilkarze polują na „kości” przeciwnika i intratne warunki materialne, biedne działki ze szkolnych klas sportowych okrutnie tyrają dla wyśrubowania wyników i szybko zwabiane są do klubów, gdzie ostatecznie tracą resztkę radości, jaką daje (?) uprawianie sportu. Tak sądzę, może nie mam racji, może przesadzam.

Najgorsze w tym wszystkim, że zakłady pracy posiadają pieniądze na rozwój bazy i działalności kulturalnej. Więc o co chodzi, dlaczego jest tak, jak jest? Ano: wszystko zależy od przeświadczenia, że kultura to ważna rzecz. Zwykle to przeświadczenie wyczerpuje się na deklaracjach werbalnych i opędzaniu się od problemu przy pomocy doraźnych rozwiązań, uspokajających gestów, obietnic. Dotyczy to właśnie naszego terenu, gdzie na przykład nie może ruszyć z miejsca budowa dzielnicowego domu kultury — przy pomocy Fabryki Samochodów Ciężarowych w Lublinie. Tymczasem wielkie zakłady przemysłowe w innych rejonach kraju zupełnie inaczej podchodzą do sprawy. Znajdują środki na doręczne inwestycje kulturalne, a w obiektach, które stawiają, coś się naprawdę dzieje. Przykładem Huta im. Lenina czy Tarnobrzeg, przykładem o szczególnej wymowie inicjatywy rozwijanej w związku z budową Portu Północnego w Gdańsku i Huty Katowice. Nie przypominam sobie, aby jakiś duży zakład przemysłowy z terenu starej Lubelszczyzny zaprosił do siebie, na roboczą wizytę, pisarzy, malarzy, aktorów...

W tej sytuacji nie jest chyba natręctwem przypomnienie ludziom projektującym i wznoszącym aglomerację Lubelskiego Zagłębia Węglowego o sprawach wymagających załatwienia w dziedzinie kultury. Pisałem niedawno o bibliotekach, obecnie chciałbym wskazać na inne kwestie.

Zagłębie to nie manufaktura, lecz kolos przemysłowy: wielka produkcja, tysiące ludzi. Tymczasem na tym obszarze wszystko jest małe, albo zmierzające do dołu, absolutnie nie nadające się do organizacji masowych imprez kulturalnych. Na przykład takie kino w Łęcznej, miasteczku wiekowym, uwiecznianym niegdyś w rysunku przez samego Norblina, „rodzica malarstwa polskiego”, a obecnie awansującym do roli węglowego centrum. Ruch tu coraz większy, coraz bardziej nerwowy, więc pomysłałano o hotelu i domach mieszkalnych. Pomyślmy jednak przy okazji o tym kinie. W tej chwili mieści się ono w remizie strażackiej i jednorazowo satysfakcjonuje zaledwie 180 widzów. A poza tym wali się ten domek murowany, prawdę mówiąc nie nadaje się do remontu. Wojewódzki Zarząd Kin widzi zatem pilną potrzebę wzniesienia w Łęcznej

nowego obiektu na 400 miejsc, łącząc inwestycję z przyszłą pięciolatką i 14 milionami złotych.

W jeszcze gorszych warunkach działa kino w Rejowcu Fabrycznym. X Muza, jak to mówią, prezentuje swoje wdzięki w baracku należącym do cementowni i chełmskiego przedsiębiorstwa gospodarki komunalnej i mieszkaniowej, który po polowie jest z drewna i cegły. Nie ma sensu remontować go czy modernizować, lepiej zastanowić się nad zbudowaniem w Rejowcu domu kultury z salą kinową — tak przynajmniej sądzi WZK w Lublinie, szacując koszt inwestycji na 21 milionów. Zmiany administracyjne nie odbierają tej sugestii cech racjonalnego myślenia, podobnie jak nie przekreśla jej fakt istnienia dość przyzwoitego kina w pobliskim Rejowcu — Osadzie.

W podobnym stanie znajduje się kino w Siedliszczach, korzystające z opłacanej uprzejmości prywatnego właściciela murowanego domku. Ten salon filmowy liczy sobie 120 krzeseł i produkuje się przy pomocy tak zwanej „szesnastki”, czyli wąskotaśmowej aparatury, która oszłomiła mnie standardem technicznym — w 1954 roku w olsztyńskiej wsi Mysłaki, gdzie po pioniersku kołmi powoziłem. Tymczasem jest rok 1975, co może wszystkim wiadome, ale i warte podkreślenia. Podobnym wyposażeniem dysponują kina w Fajstławicach, Wierchowinach, Kraśniczynie, Siennicy Różanej, Michowie, Woli Sernickiej, Majdanie Leśnym... Budynki także nie nadają się do dalszej eksploatacji, choć z konieczności „działają”.

Natomiast w Cycowie — gmina — oddalonym od Łęcznej tak na oko z 15 kilometrów, kino w ogóle nie ma. Zostało zlikwidowane w 1974 roku, albowiem strach było siedzieć w walącej się sali prywatnego domu. Jest co prawda w węglowym Cycowie dom nowy, okazały, kryty eternitem, o zakratowanych przezornie oknach, ale mieści się w nim wielka restauracja gminnej spółdzielni. Istniejące kino — mówią okoliczni mieszkańcy, mając przecież na uwadze sens metaforyczny tego określenia,

KINO NA WĘGLU

Tadeusz J. Kamiński

Także w Świerżach zamknięto kino — z identycznych względów. Ewentualna budowa nowych obiektów, kryjących pod jednym dachem dom kultury, kosztowałaby przeciętnie 18 milionów sztuka. W przypadku realizacji wszystkich potrzeb tego rodzaju należałoby postarać się o 270 milionów złotych. Spora to suma, bez „czapkowania” się nie obejdziesz, rozwiązanie tej kwestii wymaga otwarcia kasy przez różne przedsiębiorstwa i instytucje — nie wykluczając, rzecz jasna, Lubelskiego Zagłębia Węglowego.

Zróbmy przecież rozsądne zastrzeżenie: nie chodzi o natychmiastowe załatwienie sprawy, chodzi o sensowne, realistyczne, liczące się z możliwościami nakreślenie perspektywy czasowej, w której można by rzecz kinofikacyjną rozwiązać. W tej chwili żadnych takich planów i ustaleń nie ma. Opracowany w 1973 roku „Program rozwoju kultury województwa lubelskiego na lata 1973—1990” stracił właściwie aktualność, nigdy zresztą nikogo nie zobowiązując do niczego. To była duża robota, wartościowa głównie pod względem analitycznym, ujawniającym stan posiadania kultury regionu, lecz w kontekście zmian administracyjnych można ją odesłać do archiwalnego nieba. Przed tym jednak należałoby dokładnie przejrzeć zapomniany dokument, rezultat pracy dużego zespołu specjalistów, bo, a nuż odnajdziemy w nim treści ciągle żywe, sprawy dalej czekające na załatwienie. Program kosztował poza tym dużo wysiłku i pieniędzy, byłoby rzeczą haniebną wyrzucić go na makulaturę; comicsy dla Skandynawii można drukować na gorszym papierze. Na wszelki wypadek zacytujmy jednak jedno krótkie zdanie: do roku 1980 przewidywano m. in. odpowiedni do potrzeb i możliwości rozwój sieci kin stałych i letnich w oparciu o planowany rozwój urbanizacyjny Lubelskiego Zagłębia Węglowego (z przedłużeniem realizacji po roku 1980). Z opracowania co rusz wylizera zresztą tęsknota działaczy kulturalnych za Wielkim Węglem, przedstawiają się oni jako te dzieci czekające niecierpliwie na obiecaną słodyczkę.

Kina w gminach i dużych wsiach: kłopotliwy problem. Nie rozwiążemy go budową osobnych obiektów. Nie stać nas na to, a poza tym nie ma chyba potrzeby wznoszenia pałaców filmowych. Jedyne wyjście w stawianiu ośrodków kultury zawierających salę widowiskową, pełniącą także funkcję kina. Przy okazji udałoby się, być może, pozyskać do pracy ludzi o nieco wyższym niż dotychczas wykształceniu, o nieco większych kwalifikacjach zawodowych. Upowszechnianie sztuki filmowej to działalność, było nie było, czysto kulturalna (nie mówiąc o propagandowej), tymczasem kierownicy kin terenowych chwalać się na ogół świadectwem szkoły podstawowej lub średniej ogólnokształcącej. Są to nierzadko osoby od wielu lat prowadzące placówki, co jednak absolutnie nie zastępuje głębszej znajomości rzeczy, nie wyrównuje braków w sferze inwencji kulturotwórczej. Oczywiście, w dotychczasowych warunkach kinem będącym kierował każdy, kto potrafił przekreślić klucz w zamku, sprawdzić stan upojenia alkoholowego u operatora, rozliczyć kasę.

I dlatego także należałoby te warunki zmienić.

W UPALNY lipiec roku 1973 angielskie miasteczko Bath było miejscem uroczystości związanych z obchodami 1000-lecia założenia monarchii, albowiem właśnie tu w roku 973 odbyła się koronacja pierwszego króla Anglii — Edgara.

W tych też dniach gościli tam szachiści z 6 państw rozgrywający finały V Drużynowych Mistrzostw Europy. To tam po raz pierwszy — i jak dotąd jedyny — miałem okazję zmierzenia swych sił z jednym z najoryginalniejszych szachistów naszych czasów, eksmistrzem świata Tigranem Petrosjanem.

Nasza partia od początku miała skomplikowany przebieg, a małą inicjatywą władał, grający białymi, Petrosjan.

Gdy stopniowo neutralizowałem groźby przeciwnika, nagle zostałem zaskoczony dziwnym posunięciem: Petrosjan wycofał z doskonalej centralnej placówki swego skoczka, tym sposobem prowokował aktywne zagranie z mej strony. Tak i zagrałem, a wówczas... skoczek powrócił na poprzednią placówkę groząc wtargnięciem do mego obozu na pole osłabionym ostatnim aktywnym (!) posunięciem. Pozycja, jednak, nadal pozostawała w granicach równowagi, tyle tylko, że zmienił się jej charakter: gra nabierała bardziej statycznego charakteru, ciężar zaś walki krył się w umiejętności prowadzenia długich i cierpliwych manewrów.

Ponownie wynajduję najwłaściwsze manewry, rozstawiając swe figury tu gdzie trzeba i nagle... centralny — ozdoba i duma pozycji — skoczek Petrosjana rozpoczyna kolejny rejs, tym razem w celu wymiany za swego czarnego oponenta. Pozostają na szachownicy różnopolowe gońce i partia nieuchronnie kończy się remisem.

Po partii długo poszukiwałem przesłanek, jakimi kierował się arcymistrz rozpoczynając ten — ostatni — manewr wymienny. Okazało się, że w dalekiej perspektywie czarne dysponowały możliwościami podjęcia prób przechwycenia inicjatywy — właśnie tej, ukrytej, ewentualności zapobiegał Petrosjan.

Nie było dla niego ważne — w tym momencie — że gra z wyraźnie słabszym przeciwnikiem, że rywal może nie dostrzec korzystnego rozwiązania. Pozycja dyktowała mu wyłącznie taką ostrożną decyzję, tak też i zagrał...

Właśnie w tym, niezmiennym, krystalicznie obiektywnym traktowaniu istniejących problemów, w wyczuciu i neutralizowaniu dalekich, omal niedostrzeganych grób kryje się specyficzny Petrosjanowski talent.

Jeśli np. Tal czy Korcznoj są gotowi zawsze iść na ryzyko, aby tylko w zamian uzyskać szansę i dla siebie, to dewiza Petrosjana jest gra obiektywna, jego konstrukcje muszą być pełne, wznoszone konsekwentnie i logicznie.

Tal, aby uzyskać szansę, lubi oddać materiał w zamian za inicjatywę wsparcia wiara, że w komplikacjach właśnie on uzyska przewagę. Korcznoj odwrotnie: chętnie oddaje inicjatywę, wchodzi „pod atak” zakładając, że prowadzący natarcie przeciwnik odsłoni się i... pozwoli mu na przeprowadzenie zwycięskiego kontrataku.

Dewizą tak Tala, jak i Korcznoja, jest za wszelką cenę narużyć równowagę. Petrosjan ceni, wysoko ceni, grę

witscha w osobie Petrosjana znalazły gorącego zwolennika.

W latach wojny szachy jednak znalazły się na uboczu, stało się to gdy stracił rodziców i musiał chwilowo przerwać naukę, rozpoczynając pracę zarobkową. Piętnastoletni chłopiec zimą 1944 został dozorcą. Te ciężkie życiowe doświadczenia nauczyły go niejednego, nade wszystko zaś ukształtowały silny charakter, przydały rozsądku i zapobiegliwej ostrożności. Od tamtych dni Pe-

zwykle rzadkie i stanowią powód do swego rodzaju sensacji.

Co prawda, zwycięstwa są także nieliczne, większość pojedynków to remisy. Krzywa rezultatów jest bardzo wysoka, zawsze w czołówce i... omal nigdy nie jest na pierwszym miejscu. Osiąga rezultaty, które dla innych mogłyby stanowić życiowe osiągnięcia, to jednak jest narażony na ataki krytyki, której nie podoba się jego styl: „jest zbyt ostrożny, za mało aktywny!”.

Mimo to — wysłuchując zdania wybitnych znawców — potrafi zachować własną linię postępowania, krok za krokiem wspina się coraz wyżej w światowej hierarchii szachistów. Punktem kulminacyjnym jest zwycięstwo w turnieju pretendentów na Curaçao w 1962 r. i następnie — rok później — sukces w blisko trzymiesięcznej batalii z wieloletnim liderem szachów światowych, Michałem Botwinnikiem.

Era „panowania na tronie szachowym” trwa sześć lat.

W 1966 r. broni tytułu mistrza świata w pojedynku ze znajdującym się w wymienionej formie Borysem Spasskim. Przed tym meczem „opinia” dawała więcej szans pretendentowi, zachwycając się jego umiejętnością prowadzenia walki psychologicznej, wyrażającej się w trafnym doborze metod i środków najbardziej niedogodnych w danym momencie dla partnera.

Już przed meczem Petrosjan otwarcie oświadczył: „Wygra ten kto będzie po prostu lepiej grał, bez względu na styl, psychologię i tym podobne fokusy...”

Po pokonaniu zaś Spasskiego, gdy znawcy — dla odmiany — zachwycali się, jak to Petrosjan „przechytrzył pretendenta także w sferze walki psychologicznej”, zadał ostateczny cios tym poglądom: „Ostatnio zbyt wiele spraw zwykło się tłumaczyć względami psychologicznymi, kryjąc za tą dymną zasłoną prawdę, że o kwestii mamy mgliste przeświadczenia... W wyborze taktyki w meczu ze Spasskim kierowałem się zasadniczo logiką i zdrowym rozsądkiem (!), psychologia grała tu niewielką rolę...”

Aczkolwiek w 3 lata później — w 1969 r. — Spasski wydarł mu berło, właśnie dzięki „lepszej grze”, Petrosjan nadal pozostał jednym z najsilniejszych szachistów świata. Porażki jego nadal są rzadkością i jak dawniej stanowią sensację. W nadchodzącym cyklu walk o miano pretendenta i możliwość zmierzenia się z obecnym championem, Anatolem Karpowem, zapewne wystąpi w roli jednego z czołowych faworytów.

Jego atuty, to nadal żelazna, nieubłagana logika myśli, nadprzyrodzony zmysł pozwalający wyczuwać mogące (!) nadejść niebezpieczeństwo oraz specyficzne, własne, typowo „Petrosjanowskie — ja”.



Tigran Petrosjan

Rys. I. Sokolow.

GRAŁEM Z PETROSJANEM

Krzysztof Pytel

obu arcymistrzów, zawsze jednak pozostaje wierzący swemu stylowi, własnemu „ja”. Nawet wówczas, gdy na jego głowę kryły się — zarzucający nadmiar ostrożności — sypali potężne gromy...

Tigran Wartanowicz Petrosjan grał w szachy nauczył się w domu rodzinnym w Tbilisi. Pierwsze kroki stawiał, w początkowych latach wojny, w kółku szachowym w Pałacu Pionierów, gdzie zajęcia prowadził mistrz Ebrallidze, zwolennik pozycyjnego stylu gry. To Ebrallidze zaszczylił małego Tigranowi zamiłowanie do oglądania i naśladowania takich, jasných, a nade wszystko logicznych gier geniusza okresu międzywojennego, Kubańczyka Capablanki.

W tym też okresie Petrosjan natknął się na pracę Nimzowitscha „Mój system”. Nimzowitsch uczył konstrukcje wznosić od fundamentów, później ściany — cegielka po cegielce — na końcu zaś dach. Nowatorskie, wówczas, idee Nimzo-

frosjan zawsze dbał o to, aby mieć zabezpieczone tyły...

Pierwsze lata powojenne to systematyczny rozwój młodego talentu.

Wówczas to komentatorzy ze zdziwieniem — po wszechzwiązkowym turnieju juniorów, gdzie był pierwszy — zauważyli: „Taki dzieciuch i nie przegrał żadnej partii?”. Ta fraza będzie się powtarzać jeszcze wiele, wiele razy. Co prawda w 1949 roku występując pierwszy raz w finale mistrzostw ZSAR zostaje zjedzony przez debiutancką treść i na starcie przegrywa aż 5 kolejnych gier, aby w końcowej klasyfikacji uplasować się w ogonie tabeli.

Zbliża się jednak era „żelaznego Tigrana” — jak nazywali go później koledzy arcymistrzowie. W roku 1951 w mistrzostwach kraju zajmuje 2-3 lokatę, kwalifikując się do rozgrywek o mistrzostwo świata. Od tej chwili jego porażki w poszczególnych grach są nie-

Dokończenie ze str. 1

i przyjaciół. Ostał się tylko męt — wizerunek gracza, który jak wielu innych, podobnych, przegrał życie.

Hazard nie jest w zasadzie przestępstwem, chociaż istniejące domy gier, nielegalne kasyna czy karciane meliny pozostają pod osłoną tajemnicy. Tylko ludzie z branży znają ich adresy. W wielu wypadkach są to miejsca spotkań „elity towarzyskiej” — przedstawicieli bardziej poważnych i intratnych zawodów. Człowiek spoza danego środowiska nie ma do nich prawa wstępu.

W niewielkim, jednopiętrowym domku, na nie rzucającej się w oczy ulicy w dzielnicy Dziesiąta, w budynku niczym specjalnie nie różniącym się od sąsiednich posesji grywają często utytułowani panowie w krawatach: pewien ogrodnik, kilku mecenasów i lekarzy, pewien docent, dwóch właścicieli dobrze prosperujących sklepów galanterijnych. Składy się zmieniają, tylko stawki pozostają te same. Jest tam ruletka — najciekawszą będącą w użytku, jest też duży stół pokryty zielonym sukniem. Nad całością, miłą atmosferą czuwa gospodarz — przyjaciel elity, bankier i sympatyk hazardu. Jeden z lubelskich adwokatów przechodzi tutaj zawsze na piechotę, bowiem — jak sam mówi — lepiej przegrać portki niż fiata. A zdarzyło mu się, innym również, że wracał do domu z pustymi kieszeniami. Zwycięzcy, którym akurat wtedy dopisało szczęście, mogli pozwolić sobie na nowy, kolorowy telewizor do kolejnego pokoju, kosztowną wycieczkę za granicę.

Trudno powiedzieć, czy wśród tego składu zdarzały się szulerskie zagrywki. Nikt nie został złapany za rękę. Być może, nie o to chodzi, by złapać. Faktem jest, że stawki są bardzo wysokie. Raz wygrywa p. doktor, innym razem — p. mecenas. Grube pieniądze wędrują z jednej kieszy do drugiej, a zarabiam na tym także sam gospodarz. Wstęp, oczywiście, kosztuje, a wiadomo, że ryzyko ma

swoją cenę. Zagraniczne trunki i amerykańskie papierosy też nie są tanie. Paniom do towarzystwa, a bywają tam takie, również trzeba wynagrodzić każdy uśmiech do pochłoniętych grą panów. Inne, bardziej intymne, „uśmiechy” także nie należą do rzadkości.

Tego rodzaju prywatnych „kasyn” jest w Lublinie na pewno kilka, a wcale niewykluczone, że znacznie więcej. Nie wszystkie są znane organom MO, nie wszystkie urządzone i wyposażone są w tak luksusowy sposób. Zresztą można się nawzajem łupić w obskurnych, śmierdzących grzybem, oparami alkoholu i dymem tytoniowym pijakich melinach. Wtedy kultura zasiadających do kart jest zdecydowanie niższa, drobniej są też stawki. Zasady gry są jednak takie same.

Oprócz zwykłych, rzec by można codziennych partyjek w różnych środowiskach, raz na miesiąc, niekiedy na kwartał, organizowane są zjazdy karcianych rekinów. Czas i miejsce spotkań oraz lista graczy ustalana jest znacznie wcześniej poprzez zaufanych kurierów.

O jednym z takich, trwającym równo okrągłą dobę, spotkaniu „na szczycie” opowiadał mi jego uczestnik — człowiek z „branży”, nazwijmy go Kot. Był on jednym z sześciu graczy, przedstawicieli różnych miast. Każdy z zasiadających do gry miał pod ręką wbity w blat stołu nóż. Według przyjętych tam zasad mógł on być użyty w wypadku stwierdzenia nieuczciwego ruchu któregoś z partnerów.

— Wie pan — opowiada Kot — w takiej sytuacji żadne sztuczki raczej nie wychodzą. Dla nas nie ma tajemnic w szulercie, a przy takich ustaleniach nie ma odważnych. W czasie gry tylko facet z Łodzi dostał w rękę. Zresztą tylko w łapę można atakować. Tutaj chodzi o to, by takiego nieuczciwego oduczyć na przyszłość dziecięcych za-

grań, a jednocześnie wyrobić w nim szacunek dla partnerów. W sumie, a nie było to tajemnicą, gdyż przed rozpoczęciem gry wszyscy zgłosili wysokość posiadanej gotówki, mieliśmy razem prawie milion złotych. Gra była warta świeczki, a jak powiedziałem, kanty nie wyszłyby w tym towarzystwie. Ale od czego ma człowiek głowę? W końcu nie od rady. W zasadzie — to stary sposób. Pościńcałem sobie naskórek z palców. Dzięki temu mogłem oprzy rozdawaniu rozpoznać kolor danej karty, a nawet jej wartość. Na dobrą sprawę grubość nalożonej przy druku farby w zupełności wystarcza do rozszyfrowania karty. Trzeba tylko odrobiny praktyki.

Poszło mi zupełnie dobrze. Wziąłem blisko trzy razy więcej niż miałem na początku. Panie, po powrocie do domu dałem na mszę! Gdańsk był dla mnie naprawdę szczęśliwy. Wkrótce wybieram się tam na kolejną rundkę.

Wątpliwa to raczej przyjemność zasiadać z hazardzistami do gry. Inna sprawa, że można wtedy doskonale poznać charakter i mentalność ludzi, sposób ich zachowywania się, reakcje na karciane wzloty i upadki.

Na moje usilne prośby człowiek z „branży” dał się przekonać i umożliwił mi rozegranie ośmiogodzinnej partyjki pokera w przyzwolonej urzędzonym mieszkanku na Kalinowszczyźnie. W pięciuosobowym towarzystwie, w którym przy wzajemnym przedstawianiu się — bez względu na wiek — padły tylko imiona, zostałem zarekomendowany jako stary, dobry kumpel z Warszawy. Tylko mój „pilot” wiedział, że na ewentualne przegranie przeznaczam dwa tysiące złotych. Przyznam się jednak, że wcale nie miałem ochoty wypukać się z forsy. Gdyby można podziękować i wstać od stołu po zgarnięciu większej wygranej, dwukrotnie, raz

Z POEZJĄ NA ULICĘ

Jerzy Krzysztof Misioł

TAK zwane dyskusje literackie — szczególnie te dotyczące poezji najnowszej — znalazły się ostatnio w sytuacji efemeryd wstrząsanych periodycznymi konwulsjami. Jest to tylko sytuacja śmierci pozornej, nazwę to śmiercią kliniczną zażartych dyskusji o poezji. Jeżeli zaś chodzi o samą poezję, to jest ona daleka — jak to niektórzy uważają — od śmierci klinicznej czy choćby nawet krańcowego wyczerpania z powodu wyczerpania siły oddziaływania. Kwestia zaczęła ostatnio zawęzić się do problemu popularyzacji i rozpowszechniania poezji, zaś nikłe rezultaty, a często porażki na tym polu zaczęły brać za nagły spadek zainteresowania się poezją szerszych mas czytelników. W dyskusji a raczej giełdzie pomysłów popularyzacji i ogólnie przekazu słowa poetyckiego wzięli udział zarówno przedstawiciele kręgów twórczych, poeci, pisarze, reżyserzy filmowi, teatralni, jak technicy — specjaliści od różnorodnych form podawania żywego słowa. Świetną realizację własnej koncepcji przekazu poezji prezentuje krakowski Teatr „STU”, przy kładem może być montaż tekstów poetyckich w „Senniku polskim”. Kompilacyjna struktura „Sennika” stwarza możliwość prezentacji tekstów o różnym stopniu kondensacji materiału poetyckiego, odmienną ekspresję, a co za tym idzie, różnej sile i intensywności oddziaływania. Podobnie rzecz się ma w przypadku Teatru „Studio” — myślę tutaj o realizacjach Józefa Szajny, szczególnie o spektaklu „Dante”, którego misteryjny charakter umożliwił przedstawienie poezji często w oderwaniu od kontekstu frazeologicznego i chyba przez to bardziej agresywnej wobec widza. Niepoślednią rolę pełnią tutaj również środki techniczne.

Teatr oferujący poezję jako główne tworzywo sztuki skazuje jednak odbiorcę mimo swoich komponentów

natury technicznej (muzyka, światło, efekty dźwiękowe) na niebezpieczeństwo, które określiłbym jako asynchronizm między pojmowaniem samej zawartości słowa a treścią obrazu, jaki niesie ze sobą scena. Zrozumiałą specyfiką teatru jest jednoczesność i krótkotrwałość słowa w przestrzeni scenicznej, wersu raz podanego nie można powtórzyć kilka lub kilkanaście razy, jak to może mieć miejsce w przypadku bezpośredniego obcowania z tekstem poetyckim. Wypływa tutaj problem komunikatywności samego przekazu jak również tekstu. Komunikatywności form przekazywanych poezji jako środka jej popularyzacji nie można utożsamiać z komunikatywnością samej poezji. Fonicznie przekazane słowo może użyć swoją komunikatywność, nabrać swojego znaczenia w sposób łatwiejszy, gdyż w formie audiotechnicznej istnieje ono bardziej autonomicznie, choć bardzo krótko i właśnie z powodu tej krótkotrwałości nie napotyka oporów wobec treści jaką zawiera.

Istnieje jednak drugi aspekt tej sprawy, bardziej prozaiczny. Robi się dużo w kierunku osiągnięcia różnorodnych form podawczych słowa poetyckiego coraz częściej zapominając o tym, że poezja ta w nakładach do tysiąca egzemplarzy pozostaje w zaciszu półek pokryta przytuliną warstwą kurzu księgarskiego. A atmosfera tam panująca jest rzeczywiście ciężka. Większość księgarń w miasteczkach, a również miastach wojewódzkich, nie dysponuje odpowiednimi lokalami. Są kłopoty z magazynami. Obfita produkcja książek w Polsce nie idzie w parze z rozwojem zaplecza księgarskiego. Nic dziwnego, że dział z poezją to często kawałek półki w kącie lub za plecami na podłodze, bo i takie sytuacje widziałem. Jeżeli już książka poetycka dorobł się własnej półki czy gabloty, to „wygruża” się w nią

beładnie rozrzucone tomiki, jeden na drugi, np. w Lublinie, w księgarni na ulicy Szopena. Brak bezpośredniego dostępu do półki z książką poetycką powoduje, że przeciętny czytelnik rezygnuje z kłopotliwych zabiegów zaznajomienia się z propozycjami poetyckimi. W jednej z księgarń w małym miasteczku na Lubelszczyźnie poezja nie tworzy nawet osobnego działu a pozycje z owej enigmatycznej dziedziny leżą „porozmieszczane” po wszystkich półkach. Jest to jedna z przyczyn — pomijam małe zainteresowanie i fakt wydawania wielu bezwartościowych tomików — tego, że na półkach księgarskich znajdujemy książki opatrzone rokiem wydania 1960, 1963, 1965. Innym znamienym faktem dla naszego rynku księgarskiego jest to, że pozycje leżące po kilka lat nie doczekują się tak potrzebnej i o wiele chyba bardziej opłacalnej przeceny niż przeznaczenie ich na przemiat. Przecena o 50 proc. książki, która 10 lat temu kosztowała kilkanaście złotych będzie zabiegiem bardziej pożytecznym dla wydawnictwa i dla czytelników.

Sprawy te są w tej chwili traktowane po macoszemu. Poezja gnieździ się i dławi na ciasnych półkach księgarskich stając się rzeczą nieprzydatną, zbędną, na którą patrzą krzywo nawet sprzedawcy. Niech mała książeczka poetycka zaatakuje przechodnia na ulicy, a może wtedy zmusi go do wydania paru złotych na tomik. Licznym latem na ulicach stoiska z książkami bardzo rzadko (a właściwie wcale) prezentują na swych ładach książkę poetycką, a ta właśnie forma sprzedaży ma duże powodzenie. Może księgarnie w sezonie letnim zorganizują takie stoiska wyłącznie z książką poetycką?

GARMONDEM

JEDENASTEGO lipca 1975 roku o godzinie 10 Muzeum Kazimierza Dolnego przejęło z rąk inż. Leona Kozłowskiego zamek w Janowcu, wypłacając właścicielowi ostatniej w kraju prywatnej warowni całkiem pokaźną kwotę. Objekt będzie zakonserwowany w postaci trwałej ruiny. Skąd wzięto pieniądze? Całą sumę na wykup zamku ofiarowało bezinteresownie Ministerstwo Przemysłu Chemicznego, nie domagając się w zamian żadnej rekompensaty, choćby kilku arów na urządzenie np. campingu. To samo Ministerstwo sfinansowało niedługo remont i konserwację zamku w Baranowie. Co na to wielkie zakłady przemysłowe Lubelszczyzny? - IJK

OBOK pięknie rzeźbionej zabytkowej bramy przy ulicy Kołłątaja 6 w Zamościu wisi wiele szyldów. Na jednym z nich napisano: „Klub Abstynentów Społecznego Komitetu Przeciwalkoholowego w Zamościu”.

Nader pożyteczna instytucja. Tymczasem z zabytkowej bramy w różnych porach dnia i nocy wychodzą osobnicy obojga pici — podpici, a często w stanie upojenia alkoholowego. Po dokładniejszej obserwacji można zauważyć, że osoby te nie wychodzą bynajmniej z „Klubu Abstynentów”, ale z melin pijackich znajdujących się w jego sąsiedztwie.

Zamiast pointy opowiadka. Do sklepu delikatesowego WSS przy ul. Staszica 29 wchodzi dwóch klientów. Pytają o piwo. Dialog. Ekspedientka: „Piwo jest, ale my sprzedajemy na wynos”. Klient: „To co my zrobimy, gdzie my to piwo wypijemy?” Ekspedientka: „A idźcie do bramy, obok”. SIE

pokera

około dziesiątej, a następnie przed godziną pierwszą w nocy byłem — jak to się mówi — blisko dziesięć tysięcy do przodu. Tymczasem szczęście przestało się do mnie uśmiechać i, gdy zaczęło świtać, punkt trzecia, a więc o umówionej godzinie zakończenia gry, pozostało mi tylko 150 złotych. Jak powiedział mi następnego dnia mój „wprowadzający”, umoczenie przede mną wszystkich pieniędzy było — chociaż nie przypuszczałem — zgodne z planem. Po prostu moje okresowe wygrane miały mnie podpuścić i rozochocić do bardziej śmiałej gry. Okazało się, że jako nowy w tym towarzystwie powinienem przegrać z fasonem. Wtedy też dowiedziałem się, kto w ciekawszych momentach blefował, a kto, kiedy i w jaki sposób kantował. Zdaje się, że prym w tym wodził lekko jakający się pan Stefan, prawdopodobnie magister chemii. On także zagarnął najgrubsze pieniądze — ponad dwadzieścia patyków. Najbardziej deherwował się, poccił i niezdrowo podniecał pan Mieczysław, dyrektor jakiejś lubelskiej instytucji. Mniej więcej co pół godziny pan Miecio (stracił osiem tysięcy) robił kilkunutowe przerwy na odpoczynek, wydzwaniał, zdając przy tym bieżącą relację do swojej żonczki — Kitusia, która wykazywała ogromne zainteresowanie grą. Niewykluczone, że — jak powiedział jeden z graczy — żona-Kitusa również rozgrywała „partię”, korzystając z nieobecności swego zazdrośnika. Podczas gry dowiedziałem się niemal o nieograniczonych możliwościach witalnych poszczególnych panów, jak to oni, kogo, jak i ile razy. Przypadać trzeba, że rozmowy były bardzo „męskie”.

Istnieje wiele sposobów oszukiwania przy grach w karty. Są sztuczki typowe tylko dla danych gier, są również karciane „tricki”, które można stosować przy każdym tasowaniu, przekładaniu czy rozdawaniu.

Najprostszym sposobem znaczenia kart są tzw. „kołyski”. Kilka wybranych kart, np. dwa asy i dwie dziesiątki w grze w „oko”, zgina się wzdłuż przez środek lub bliżej jednego boku. Kiedy talia zostanie złożona, wówczas w miejscu, gdzie jest karta „kołyska”, wyczuwa się palcami luźniejsze miejsce. Daje to możliwość odpowiedniego układania kart przy tasowaniu lub rozdawaniu.

Inna, znacznie wyższą sztuką jest spreparowanie kart z brzuszkami lub poduszczkami. Całą talię, z wyjątkiem tych kart, które mają być znaczone, szuler obcina nieco wzdłuż dłuższych boków tak,



Fot. W. Stepień

żeby były one o pół milimetra węższe. Karty wybrane zostają obcięte jak poprzednie, ale tylko przy narożnikach. W ten sposób w środku pozostają one nieco szersze i to właśnie są owe „brzuski”. Przy tasowaniu można je zaleźnić od potrzeb niezauważalnie wyciągnąć na górę lub na dół talii i dać sobie lub współnikowi.

Spotyka się także karty malowane na koszułkach, niedostrzegalne znaczki na narożnikach po stronie grzbietowej. W karcianych melinach karty takie — dla niepoznaki, niby jako nowe — zaklejone są fabryczną banderolą. Sposobów znaczenia kart jest bardzo wiele.

Dość trudno opisać sztuczki stosowane przy tasowaniu. Podczas tej czynności szuler układa karty w ten sposób, by przygotowany wcześniej układ nie uległ zmianie. Po ułożeniu na spodzie np. czterech asów karciarz ściąga przy tasowaniu trzy karty z góry, potem jedną z dołu, i znów trzy z góry i jedną z dołu, itd. W ten sposób co czwartą kartą w talii będzie as. Wymaga to jednak dużej zręczności i wprawy.

Szuler, podając karty do przełożenia, ma talię odpowiednio ułożoną. Dolna część z kartami wybranymi oddzielona jest dyskretnie końcem kciuka od kart obojętnych. Do przełożonych przez partnera kart ponad kciukiem szuler dosuwa resztę kart. Wówczas na wierzchu talii znajduje przygotowany przy tasowaniu układ. Osobny rozdział stanowią tricki przy rozdawaniu.

Szulerzy rzadko grywają pojedynczo. Najskuteczniej oszukuje się w obecności współników. W zależności od rodzaju gry siadają oni obok siebie (np. przy „oku” i pokerze) albo naprzeciwko (np. przy tysiącu, 66). Pomagają sobie w kombinacjach z układaniem kart, tasowaniem, przekładaniem. Trzeci współnik zwykle nie gra, ale za to czynnie kibicuje: zagląda w karty, daje umówione znaki współpartnerom, odwraca uwagę, np. „Te, Stachu, nalej no!” Przy podpowiadaniu karty określone są literami: „a” — to asy, np. „Ależ dzisiaj wstrętna pogoda”. Wtedy rozdający wie, że jego koleś potrzebuje asa. Bywa też, że karty oznaczają się częściami twarzy, np. dotknięciem oka — asy, ucha — damy, itp.; natomiast kolory sygnalizuje się ilością palców: jeden — pik, dwa — kiery, itd. Przy ustalonym kodzie, podrapanie się trzema palcami w nos może znaczyć prośbę o króla treflowego.

Język szulerów jest więc z jednej strony bardzo zwięzły i wyczerpujący, z drugiej zaś — niezrozumiały, a często niezauważalny przez niewtajemniczonych przeciwników.

No co? Odeszła już ochota do pokera?

Mariusz Hortyński

DWORZEC Jarosławski w Moskwie. Pełno ludzi, gwar, pośpiechu. Nie dziwnego, stąd właśnie odjeżdżają pociągi „na wschód”. Jedne kończą bieg na Górnym Powołżu, inne w Workucie, inne jeszcze mijając Ural i Syberię pędzą „na kraj świata”, do Władywostoku. Jest to najdłuższa na świecie trasa kolei transkontynentalnej — 9320 km, lub jak kto woli, 7 dni podróży non stop pociągiem ekspresowym. Jej budowa była najbardziej doniosłym przedsięwzięciem gospodarczym Rosji carskiej w XIX stuleciu, porównywanym często z odkryciem Ameryki czy budową Kanału Sueskiego. Pracowało przy jej budowie 73 tysiące robotników — żołnierzy, zesłańców, chłopów przywożonych na sezonowe roboty. Ciężka to była praca. Przy wznoszeniu nasypów, drążeniu tuneli, budowie mostów. Wielu z tych „pionierów” pozostało na zawsze na cmentarzach rozrzuconych wzdłuż trasy kolei w dzikiej tajdze. Ci, co przeżyli, odeszli anonimowo, wśród nich wielu Polaków — prostych robotników, którzy pozostawili swe rodziny i przyjechali tutaj skuszeni obietnicą dużych zarobków. Byli też i zesłańcy, członkowie patriotycznych i rewolucyjnych organizacji robotniczych Warszawy, Łodzi, Radomia, Białego-stoku.

W okresie budowania kolei działała na terenie Rosji polska firma mostowa „K. Rudzki i Ska”, zatrudniająca zgrany zespół zdolnych inżynierów, techników, majstrów i robotników. Wiele zbudowanych przez nią mostów na największych rzekach ówczesnego Imperium rosyjskiego przetrwało do dnia dzisiejszego. Wielkie odległości przy budowie kolei nastęrczały mostowcom niemałym trudności transportowych i organizacyjnych. Stąd też, gdy firma otrzymała zlecenie wybudowania wszystkich mostów na wschodnim i środkowym odcinku kolei transsyberyjskiej, całość stalowych elementów konstrukcyjnych została wykonana przez zakłady w Mińsku Mazowieckim. Później transportowano je koleją do Odessy, a następnie drogą morską na Daleki Wschód do Niokolajewskaja przy ujściu Amuru. Tu po przeładowaniu na barki, elementy te przewożono na miejsce budowy, odległe często o 2500 kilometrów.

Wreszcie niemały wkład w budowę kolei wnieśli polscy inżynierowie — geodeci, geolodzy, mostowcy, wykształceni na uczelniach Petersburga. Byli to bowiem czasy zaborów i wielu Polaków studiowało na uczelniach carskich, a po skończeniu nauki podejmowało pracę na Syberii. Niezależnie od różnej oceny klimatu życia społecznego w zaborze rosyjskim, jedno jest pewne: na początku XX stulecia Syberia, a wraz z nią cały Daleki Wschód Imperium rosyjskiego, przestały przemawiać do znacznego odłamu Polaków pojęciami sprzed kilkudziesięciu lat. Zamiast zesłania i przymusu przebywania niemal dogonnie na odludziu i w bardzo ciężkich warunkach bytowania, udającym się na Daleki Wschód rwsowała się całkiem inna, nowa wizja rozwiązań życiowych. Gigantyczne roboty publiczne przy wykańczeniu magistrali kolejowej przez Syberię i przedłużeniu jej przez Mandżurię do Władywostoku, budowa mostów na Amurze i Sungari, organizacja żelaznej parowej na tych rzekach, zakładanie nowych miast, budowa wielkich młynów parowych, cukrowni i gorzelni w różnych punktach Dalekiego Wschodu — wszystko to dawało Polakom przyjeżdżającym w te rejony bardziej korzystne warunki nowej, lepszej egzystencji poza krajem.

Rząd Rosji carskiej przywiązywał wielką wagę do tej magistrali, która od lat trzydziestych XIX w. rodzila się w wielu projektach — rosyjskich, amerykańskich i angielskich. Koszt budowy przewyższał jednak ówczesne możliwości skarbu Rosji. Były to bowiem czasy, kiedy na Syberii nie było w ogóle przemysłu. Dopiero pod koniec XIX wieku ożywiło się tutaj kopalnictwo rud i metali oraz hutnictwo. Ewidentne korzyści mające

plynęły z łatwiejszego związania carskiego skarbcza z kopalniami Syberii i Dalekiego Wschodu zdecydowały o rozpoczęciu budowy kolei. W maju 1891 roku carski Mikołaj, wysłany przez ojca do Władywostoku, wykopał pierwszą łopatę ziemi. Roboty ruszy-



Polowanie na zwierzęta futerkowe jest dzisiaj tak jak i przed wiekami, ulubionym zajęciem Jakutów. Fot. Agencja Prasa „Nowosti”

ły z dwu krańcowych punktów, spod Jekatierenburga (dzisiejszy Swierdłowski) i Władywostoku.

Z chwilą rozpoczęcia prac drogą morską z Odessy przez Suez i Ocean Indyjski płynęły materiały budowlane, konstrukcje mostów i ludzie. Wielu wśród nich było żołnierzy. Transporty te wprawily ówczesne państwo azjatyckie w niepokój. Spodziewano się bowiem jakiejś agresji ze strony Rosji, skoro przez długie miesiące statek za statek odprawiano żołnierzy na Daleki Wschód.

Budowę kolei ukończono w 1901 roku, otwierając wrota na Syberię. Jechały nią na wschód tysiące ludzi zasiedlając tajgę i tundrę. Od tej pory, jak pisze W. Sieroszewski, *żelazny koń leciał, przebiegał niby błyszcząca igła śnieżną kurzacę zamieci, obłoki skupione na szczytach górskich łańcuchów, nieprzejrzałe stepowe przestworza i rozpalone słońcem skalne wąwozy i ciemne tunele... Lustra, brzozy, mahonie, kryształowe naczynia, zwierciadlane szyby, dymiony, kotary; wygodne wyściełane fotele i kanapy, przed nimi gustownie rzeźbione stoliki. Właściwie nie wagony, lecz małe przenośne saloniki na kołach... Kolej taka, skracając ogromnie, bo aż w dwójnasób, drogę do handlu ze Wschodem, stała się niezbędnie potrzebną przemysłowej i pieniężnej Europie. Ponieważ jednak będzie międzynarodową, przyniesie państwu zyski, których niepodobna na pieniądze obliczyć.*

Istotnie. Dzisiaj kolej ta, wciąż nowoczesniejsza, jest komunikacyjnym kręgosłupem Syberii, posiadającym szereg odgałęzień. Pełno na tej trasie turystów „zaliczających” z okien wagonu Syberię. Na pewnych odcinkach jest się w samym sercu syberyjskiej tajgi. Różnokolorowy ocean przyrody podchodził do samych torów. Co jakiś czas potężne rzeki — Wólga, Kama, Irtysz, Jenisej i Amur. Często jedzie się wąskim tunelem wykutym w skale, a po obu stronach torów widać tylko szczyty górskie pokryte śniegiem. Wszystko na jednej trasie, w ciągu jednej podróży. Podróż taka pozostaje w pamięci na zawsze.

Przez nasz kraj przejeżdżają międzynarodowymi pociągami pasażerowie z biletami na tę trasę. W sąsiedztwie Władywostoku znajduje się bowiem miasto Nachodka. W nim koncentrują się stale linie żelaznej pasażerskiej łączące Daleki Wschód z Hon-konchem, portami japońskimi i innymi krajów wschodnioazjatyckich.

Po wybudowaniu kolei stała się bardzo modna. Fascynowała wielu badaczy i podróżników. Objawiała światu bogactwa krajiny leżącej na trasie od Uralu do Pacyfiku. Skracala o wiele dni podróż z Europy zachodniej do Chin i Japonii. Stukot kół pociągu pędzącego przez zauralskie

obszary odmierzal również rytm politycznych obrazów poematu pt. „Proza kolei transsyberyjskiej i małej Zanny z Francji”, pióra francuskiego poety i obywatela — Blaise Cendrarsa. Utwór ten powstał przy okazji podróży autora z Moskwy do

restauracji „Słowiański bazar”, gdzie w okolicy Kremla, w której zawsze przebywało kiedyś wielu Polaków. Spotykali się w niej kupcy, działacze polityczni, pisarze. Często bywał tu Benedykt Dybowski, Feliks Kon i inni.

— A wiesz — powiedziała pod koniec rozmowy — mój ojciec był Polakiem. Urodził się gdzieś na Syberii. Tam zawędrował jego protoplasta po powstaniu styczniowym, który później, jak przyszło uwolnienie, pozostał tutaj. Ojciec pielęgnował tę polskość. Miał wiele pamiętek. Tak mówiła mi matka. Ja nigdy go nie widziałam, zginął gdzieś w Polsce w 1945 roku — tuż przed moim urodzeniem. Własniam natomiast jak wyglądał mój dziadek. Mama mówi, że ojciec był podobny do niego. — Tu podała mi poźółkie zdjęcie. Patrzył z niego przystojny mężczyzna. Dziadek był absolwentem Instytutu Górniczego w Petersburgu. Pracował na kolei transsyberyjskiej. Olga podkreślała tę przeszłość. Ta polskość w niej krążyła.

— Rozmowy z tobą — wyznała kiedyś — przybliżyły mi Polskę. Z pewnością wybiorę się do was. Może wówczas stare realia staną się mało ważne. Chociaż wiem, że historii nie można podeptać. Trzeba ją natomiast rozumieć. Nawet wtedy, jeśli jest solą życia.

Ruszamy. W dali znika gromadka ludzi stojących na peronie. Korytarz wagonu powoli wydłubia się. Przede mną odległość 5191 kilometrów — do Irkucka. Trasę tę przebywa pociąg w

Jest też Jarosławski. W ważny szlak na się na Wschód, najdłuższą trasę, które krótkodługości, powodem dur syjskiego. W i legend, Op i poetów, dla natchnieniem, nego rosyjski Lewitana term

Wagon re kami. Zajm Pogadabny z złość drugie n le puste. Wr lokiem. Nieś Czuję, że ch wcześniej w ze sobą parę tania, które niem: — Wy

— Da — co szy.

Jurij — bo lokiem jest Kijowie spotk w Bracku bu jego namowor został nad postanowił w rzeń. Podobało

— Syberia Tam życie i

POCIĄGIEM P

Charbinu w okresie wojny rosyjsko-japońskiej: „Kiedy zbliżyliśmy się do Mongolii Chrapiącej jak poraz Pociąg zwolnił biegu I chwytalem w nieustannym stukocie Ten obłędu i tkanie Jakiejś wiecznej litanii...”

Wagony ekspresu „Rossija” stały na peronie i co chwila przybywało podróżnych. Sadowię się wygodnie przy oknie. Obok para sympatycznych starszków wypytuje konduktorkę o czas podróży. Jadą do Omska. Jedni wybierają się w tak długą podróż po raz pierwszy, inni na stałe upodobali sobie tę formę podróży. W samolocie czas szybko mija i nie można nawet porozmawiać — wyznaje sympatyczny Sybirak. — Zalegają tego pociągu jest nie tylko komfort, ale ciągły kontakt z ludźmi. Wle pan, jak w ubiegłym roku spędziłem urlop? Podróżowałem na tej trasie dla przyjemności.

Zegnam się z moskiewskimi znajomymi. Sympatyczna Olga nie daje nikomu dojść do słowa. Ciągle o czymś trajkocze. I chociaż wpadła na dworzec w ostatniej chwili, szybko roztoczyła swój czar. Jest subtelna jak rosyjskie szlachelanki z powieści L. Tolstoja. Wie o tym i pieleczuie tę odmienną. Przyznając, że robi to z dużym wyczuciem. Znajomi przysli na dworzec z kwiatami. Olga natomiast przyszła z butelką szampana. Może to nie szczególnie w takim prezencie, do dzisiaj jednak pamiętam ten szampan, soleciony jest z obrazem Olgi, wysokiej blondynki z włosami upiętymi w kok, z czarnym szalem przerzuconym przez ramię.

Lubiłem ją. Zawez długie rozmawialiśmy o Polsce. Zdomiewala mnie znajomością historii naszego kraju. Miłość do Polski była w niej dziełem zaborzenia. Wreszcie, co polskie miało dla niej wielki urok. Marzyła o tym, aby zobaczyć Warszawę. Próbowała polskie miasta i w końcu dotarła do tych odwiedzin. W Moskwie znalazła wiele miejsc łączących się z pobytami Polaków w tym mieście. Kiedyś zaproponowała mi pójście do

ciągu 84 godzin, samolot odrzutowy w niespełna siedem. Dolatują do mnie słowa rozmowy prowadzonej przez dwu młodzieńców stojących przy sąsiednim oknie. Wracają z urlopu. Jeden z Leningradu, drugi z Kijowa. Rozstaną się z Irkucku. Ten czarny z lokiem na czole pracuje w Bracku, a blondyn z wydatnym nosem jedzie do Jakucka, stamtąd zaś gdzieś dalej. Jest weterynarzem i ciągle zmienia miejsce swego pobytu, objeżdżając hodowle reniferów.

W przytulnych, lśniących czystością wagonach, na wyściełanych wielobarwnymi chodnikami korytarzach zawiązują się pierwsze podróże znajomości. Patrząc na krajobraz za oknem. Wiele tu brzożowych lasów, których dostojną ciszę zagłusza pędzący pociąg. Wkrótce Jarosław. Małe drewniane chatynki przedmieść, potem coraz więcej murowanych domów. W dali kopuły cerkwi. Wreszcie dworzec — pierwszy przystanek na tej trasie.

Miasto zostało założone w 1010 roku przez księcia Jarosława Mądrego, który wybudował tu twierdzę i obsadził ją wojownikami, aby bronili dostępu do wnętrza ruskich ziem koczującym hordom tatarskim. Twierdza przez wieki dobrze spełniała swą rolę, stawała się ważną osadą handlową. Z czasem miasto wzbogaciło się i przez następne wieki posiadało duże znaczenie. Gościł w nim carowie Rosji: Iwan Groźny i Piotr I, różni uczeni, duchowni, księżęta i bojarowie, wojskowi i artyści. Wiele pozostało po nich pamiątek historycznych w dzisiejszym Jarosławiu. Tutaj w jednej z bibliotek klasztornych odnaleziono egzemplarz najstarszego dzieła rosyjskiej literatury pt. „Słowo o wyprawie Igora”. W Jarosławiu mieszkał przez długie lata Fiodor Wołkow, który w mieście tym dał pierwsze w Rosji publiczne przedstawienie.

Poza tym dzisiejszy Jarosław jest dużym ośrodkiem przemysłowym. Znajduje się tutaj fabryka samochodów ciężarowych, fabryka opon, zakłady włókiennicze i wiele innych.

Człowiek czuj

ciaż pobyt d beria jednak Jest w tym sam znam rzy miesiącam doki Bracka, wreszcie rzuc tam, gdzie la krwi male m nie na heliku pocztą oraz bakcyl Syber

Gdzieś na o rozpostarty napis „EUROPE Przy okazji chrzest. Rano nie, a tu jak racyjny otwieł. Znajdują się niej Tęgi m niej floty stawał” podczka, aniżeli tu. się i Anatol moment do chociaż wczor koleje. Jedzie mechanikiem rzucił prace w Będąc w wólki i tak mu się nowi się przel stu lat pływ Floecie Oceanu chank okreto portów świata się na urlopu gdzie koleja.

— Tutaj prz kontakt z z Rozmawiamy nie, za która przyjemności pi ciągłem, chociaż pokonałby w woli przychozi piosenki: „Ten nie służył w m

Ta uproszony czy jednak rest o drugiej wólki rej brał udział

dużym portem
nowi bowiem
który rozpoczął
Waldajskiej, a
sjskim. Jest to
ta w grupie
do basenów
ków była ona
ści narodu ro-
o niej pieśni
o wielu pisarzy
arazy była ona
a obrazy sław-
znajęty Izaaka
wiązane z Wol-

święci pust-
e przy oknie.
ek, a tu jak na
y stółki ciągn-
wia się ten z
ta o miejsce.
zresztą już
wymieniliśmy
celo się od py-
zej stwierdzeń-
?

tem — z Pol-
inię temu z
i kiedy w
kolega, który
rownie. Uległ
ona rodziców,
dziewczynie i
by się rozje-
am i pozostał.
powiedział. —
inny wymiar.

— Walczył gdzieś w Polsce — mówi
Anatol. — Z marszałkiem Koniewem
wyzwał Kraków. To duże miasto?
— pada po chwili pytanie.

— Duże — potwierdzam. Takie utkwil
to w pamięci jego ojca i z „turbaczom
na basznie”. Ot i ciągniemy o Kra-
kowie, potem o Nowej Hucie. Staram
się odnaleźć w pamięci obrazy sprzed
lat mówiące o budowie tego socjali-
stycznego miasta. Jak dobrze, że kie-
dyś je zwiędziałem. Podkreślam po-
moc Związku Radzieckiego w jego
budowie, charakteryzując nowoczes-
ność obiektu. Przypomniały mi się
jakieś lżezy świadczące o milionach
ton stali tam produkowanej. Wreszcie
ktoś ze słuchaczy porównuje naszą
hucę z słynną „Magnitka” — hutą
w Magnitogorsku na Uralu. Wiem
teraz, że dobrze zostałem zrozumi-
any w prezentacji polskiego kolosa.
Anatol, zapewne chcąc zrobić mi
przyjemność, mówi o Polakach pły-
wających we Flocie Oceanu Spokoj-
nego, stacjonującej w Nachodce, Wła-
dywostoku, na Sachalinie i w innych
portach Dalekiego Wschodu. Począ-
tkowo dziwię się, skąd tam Polacy.
Rychło jednak okazuje się, że Pola-
kami nazywają tutaj, na Dalekim
Wschodzie, statki, które polskie stocz-
nie budują dla Związku Radzieckie-
go. Co piąty bowiem statek pływają-
cy pod banderą ZSRR zbudowany zo-
stał w Polsce.

Podróźnego, przybywającego tutaj
na Syberię z kilka tysięcy kilometr-
ów na zachód leżącej Polski, wszyst-
ko zdumiewa. Dużym zaskoczeniem

na całej trasie kolei znajdowały się
szereg ewakuacyjne. Okoliczność ta
została wykorzystana przez interwen-
tów, którzy porozumeli się z do-
wództwem czechosłowackim. Wyrazi-
ło ono zgodę na przyłączenie się do
interwentów i wojska czechosłowackie
przy pomocy biłogwardystów opa-
nowały szereg miejscowości wzdłuż
trasy kolei, od Penzy do Władywosto-
ku.

Podczas interwencji rząd amerykań-
ski rozpoczął lokowanie kapitałów w
gospodarkę okupowanych terenów ra-
dzieckich na Dalekim Wschodzie.
Znajdujący się wówczas w Japonii
poseł amerykański F. Morris zabiegał
o wysłanie kontyngentu 25 tysięcy
wojsk amerykańskich dla sprawowa-
nia kontroli nad całą koleją trans-
syberyjską. Wojsk tych jednak nie
wysłano. Zorganizowano natomiast
kontrolę poważnych odcinków tej tra-
sy aż do Bajkału. Oczywiście Ame-
rykanie umożliwili korzystanie z kolei
armiom biłogwardyjskim Koczaka,
Siemionowa, Kalmykowa i innych.
Według planów japońskich miano do-
konać „w bardzo krótkim czasie li-
kwidacji rosyjskiej rewolucji na Da-
lekim Wschodzie i Syberii”. Przewi-
dywano bowiem, że uła się szybko
posunąć liniami kolejowymi w głąb
zdobytch terytoriów i wojska japoń-
skie spotkają się w okolicach Irkuc-
ka. Stąd miały one posuwać się
wzdłuż kolei transsyberyjskiej w kie-
runku Uralu. Strategia japońska za-
lamała się jednak. 25 października
1922 roku Armia Radziecka wkroczy-

Polaków. Według książki o historii Ir-
kucka wydanej w roku 1971, w mie-
ście tym wśród polskich zesłańców
znajdowali się pracownicy nauki, le-
karze, nauczyciele, pisarze, artyści,
malarze, rzemieślnicy, robotnicy i rol-
nicy. Położyli oni duże zasługi w roz-
woju Irkucka i w ogóle Syberii. Znani
są utalentowani badacze kraju: zoolo-
gowie B. Dybowski, W. Godlewski,
geologowie J. Czerski, A. Czekanow-
ski, archeolog M. Witkosiński, artyści
malarze S. Wroński, Zienkowski
i inni. Robotnicy i rzemieślnicy z
Warszawy i innych miast polskich u-
czyli Sybiraków rzemiosła i przyczy-
nili się do jego rozpowiększenia. Na
przykład w całym Irkucku sławne
były meble artystycznie wykonane
przez stolarza Koperskiego. Mieszkań-
cy Irkucka zesłańcom z Polski za-
wdzięczają upowszechnienie wyrobów
cukierniczych i wędliniarskich. Ze-
słańcy polityczni przekazali mieszkań-
com miasta swoją wiedzę, uczyli języ-
ków obcych, muzyki, nieśli pomoc le-
karską.

Pamięć o Polakach jest tu żywa, mo-
że właśnie dlatego, że przeszłość Ir-
kucka to wkład Polaków w jego roz-
wój. Nie bez znaczenia jest również
fakt, że do dzisiaj w obwodzie irkuc-
kim mieszka około 15 tysięcy osób
świadomych swego polskiego pocho-
dzenia, a około 1000 osób mówi dobrze
po polsku. Po Bajkale pływają statki
o nazwie „Czerski” i „Dybowski”. Na-
zwa Dybowski, Czekanowski i
Czerski powtarzają się w okre-
śleniach topograficznych oraz termi-
nach zoologicznych związanych z Sy-
berią. Badanie Bajkału to oddzielny
rozdział zasług Polaków. Dybowski
zburzył dziewiętnastowieczne poglądy
naukowe, jakoby jezioro było ubogie
w życie przyrodnicze. Udowodnił on,
że żyją tu setki różnego rodzaju ga-
tunków ryb, ślimaków, raków itd., w
tym niektóre gatunki endemiczne, tzn.
takie, które nigdzie poza Bajkałem nie
występują.

Symbolem dawnej przeszłości jest
także ulica Powstańców Polskich, naz-
wana tak w dowód pamięci powstania
nadbajkalskiego, wywołanego w 1863
roku przez zesłańców polskich pracu-
jących przy budowie tzw. drogi kruga-
bajkalskiej. Powstańców było zaled-
wie 263, a wolność, którą odzyskali w
wyniku zbrojnego wystąpienia, trwała
zaledwie kilka lat. Po upadku powsta-
nia jego przywódcy zostali rozstrze-
lani na rogatkach Irkucka, o czym in-
formuje pamiątkowa tablica na ścia-
nie domu przy ulicy Powstańców Pol-
skich. Do dzisiaj zachował się także
najstarszy murowany budynek tego
miasta — dawny kościół polski, w któ-
rym zostanie zorganizowane muzeum
polskie przedstawiające wkład Pola-
ków w poznanie Syberii oraz związki
polskich i rosyjskich patriotów, któ-
rzy zsyłani byli przez carat w te re-
jony.

Sam Irkuck jest dużym ośrodkiem
przemysłowym, naukowym i kultural-
nym. Znajduje się tu Syberyjski Od-
dział Akademii Nauk ZSRR z szere-
giem instytutów naukowych, uniwer-
sytet i 6 innych wyższych uczelni.
Miasto stanowi ważny ośrodek komu-
nikacji lotniczej, jest komunikacyjnym
węzłem na Syberyjskiej Magistrali Ko-
lejowej, a także na Angarze. Tu biorą
początek wielkie trasy samochodowe:

Jakucka, moskiewska i mongolska. U-
rzędy, sklepy, instytucje, kina, teatry
skupiają się wokół głównego placu
miasta na prawym brzegu Angary.

Główne zabytki to cerkiew z XVIII
wieku, tzw. Spasskaja na pl. Kirowa
oraz Znamienskaja, wzniesione w 1762
roku w miejscu, gdzie mała rzeka
Uszakowka wpada do Angary. Cer-
kiew ta, o niebieskich kopułach ze zło-
tymi gwiazdami, odwiedzana jest przez
liczne turystów. Tutaj znajduje się
grobowiec rosyjskiego kupca G. Ste-
lichowa, który złożył na Alasce ro-
syjskie osady. Z jego polecenia zako-
pano tam 15 miedzianych tablic z ro-
syjskim orłem i napisem potwierdza-
jącym władzę imperium nad tymi ob-
szarami. Okazały grobowiec wykonany
jest z białego marmuru uralskiego i
— jak świadczy umieszczony na nim
napis — kosztował on 11.760 rubli.
Jest również na grobowcu podobiana
zmarłego, okolona wieńcem, oraz stra-
fy wiersza Dzierżawina o tym „ro-
syjskim Kolumbie”.

W niedalekim sąsiedztwie grobowca
widzą zapadnięte w ziemię mogiły.
Szare płyty nagrobne są porośnięte
mchem. Z trudem odczytują nazwi-
ska: Władimir A. Bieszaszonow, Piotr
A. Muchow, Nikołaj A. Panow. To
dekabryści, uczestnicy pamiętnych wy-
stąpień 14 grudnia 1825 roku na pla-
cu Senackim w Petersburgu. Pięciu
z nich zawisło na szubienicy 13 lip-
ca 1826 roku, a egzekucję prowadzo-
no tak niezdarne — jak wspomina
Maria Wołkońska, że trzech spadło
z szubienicy i wprowadzono ich po-
nownie na szafot. Sergiusz Mura-
tiow nie chciał, aby go podtrzymy-
wano; Rylejew, który odzyskał zdol-
ność mówienia, powiedział: „Szczęśli-
wy jestem, że dwukrotnie umieram za
ojczyznę”. Ciała ich umieszczone w
dwóch dużych akrylowych wypełnio-
nych wapnem niegaszonym i pochowa-
no na wyspie Golodoj. Wartownik
nie dopuszczał do grobów.

Zołnierzy biorących udział w po-
wstaniu przepędzono przez różgi, wy-
mierając im po 10—12 tysięcy razów,
wskutek czego wielu umierało na
miejscu. Ci, co przeżyli, zesłani zostali
na Kaukaz, gdzie toczyły się krwa-
we boje z góralami. Powstanie za-
kończyło się niepowodzeniem. Przy-
wódcy powstania, którzy uniknęli ka-
ry śmierci, zostali zesłani na Syberię
do ciężkiej pracy katorżniczej w ko-
palniach. Początkowo zatrzymano ich
w Irkucku. Stąd pojedynczo wysyłano
do kopalni nerczyjskich i do Czyty.
Część, po zwolnieniu z zesłania, osie-
dliła się w okolicy Irkucka, bądź w
samym mieście.

Na peryferiach Irkucka stoi solid-
ny, drewniany, jednopiętrowy dom.
W nim mieszkał kadyż Sergiusz Wo-
lkoński po odbyciu katorgi. W latach
1844—1856 dom ten był prawdziwym
centrum kultury w mieście. Odby-
wały się w nim spotkania towarzy-
skie, koncerty muzyczne i spektakle
teatralne. Książkę mieszkał tu razem
z żoną Marią. To ona była duszą
wszelkich poczynań kulturalnych i
towarzyskich. Maria Wołkońska we-
szła do literatury jako romantyczna
muza Puszkina. Tę kobietę o wielkim
uroku osobistym uwielbiało i kocha-
ło wielu. O rękę jej zabiegał bezsku-
tecznie polski poeta Gustaw Olizar,
a Nikołaj Niekrasow uczynił ją bo-
haterką poematu „Rosyjskie kobiety”.

Jej pamiętniki — przetłumaczone
ostatnio na język polski — są cieka-
wym dokumentem epoki. Pisała je
Wołkońska z myślą o synu, Micha-
le, informując o tym na wstępie
słowami: Pamiętam jak prosiła mnie,
abym zapisała opowieści, którymi ba-
wiłam i Ciebie i Nelly w dniach Wa-
szego dzieciństwa — słowem bym
zspisała swoje wspomnienia. Ta dzie-
lna kobieta, młodzianka żona deka-
brysty skazanego na dwadzieścia lat
katorgi i dożyłownie zesłanie, poje-
chała z mężem na Syberię rezygnu-
jąc dobrowolnie z wytwornych sa-
lonów Petersburga, zaszczyciła i
eleganckich balów. Wybrała daleką
Syberię, życie tułaczki i pogardę dwo-
ru carskiego. Podobnie jak ona postę-
piły inne kobiety, żony dekabrystów.
Te sama trudną drogę z ludnej sto-
licy Rosji przebyła Katarzyna Tru-
becka. W domu, w którym mieszka-
ła z mężem i dziećmi przy dzisiej-
szej ulicy Dzierżyńskiego 60, znajduje
się muzeum dekabrystów. Przez
dom-muzeum przesuwają się ciągle
grupy zwiedzających.

ZE SYBERIĘ

Antoni Kuczyński

Jest różnorodność krajobrazu. Zaska-
kuje on już na Uralu. Natomiast, gdy
się pojedzie trochę dalej na wschód,
utrwalają się w pamięci kręte ser-
pentyny torów kolejowych, tunele,
olbrzymie mosty, wieże wiertnicze,
góry pokryte śniegiem. Zima jest tu-
taj surowa. Nadciąga wraz z szaleją-
cymi po kilka dni zamieciami śnież-
nymi.

— Okropna jest taka „purga” w
tajdze — mówi Anatol. — Ocean bia-
łej zamieci zlewa w jedną całość gó-
ry, wąwozy i równiny. Wokół pa-
nuje chaos wirującego puchu, który
zalepia oczy, wyje i dudni, tamuje od-
dech, niszczy trakcje elektryczne,
drzewa, wszystko co spotka. Nieraz w
taką burzę ginie masa reniferów,
jeśli znajdują się na niezalesionej prze-
strzeni. Zamieć ta nawet najwytraw-
niejszych znawców tajgi wprawia w
zdumienie i lęk. I chociaż wydaje się,
że wszystko zginęło pod śniegiem,
wiosną tajga budzi się do nowego ży-
cia. Taki tu porządek w przyrodzie.

Za oknem przesuwają się nawisy
skalne, mijamy tunele — dwa, trzy
pięć... trudno zliczyć. Gdzieś za Kras-
nojarskiem rozpościerają się po obu
stronach magistrali przepastne góry,
groźne żleby, wspaniałe grzbiety po-
kryte bujną roślinnością. Od czasu
do czasu mijamy spokojne, zagubione
na szlaku stacyjki, dzielące od siebie
wielokilometrowe odległości. Zapewne
pamiętają one czasy rewolucji i in-
terwencji zbrojnej przeciw Rosji Ra-
dzieckiej.

W planach tej interwencji właśnie
kolej transsyberyjska pełniła poważną
funkcję strategiczną. Kiedy 5 kwietnia
1918 roku wylądował we Władywosto-
ku desant japoński, a po nim angiel-
ski, starano się od razu uchwycić pod
kontrolę najważniejsze punkty tej kolei.
Interwenci wykorzystali w tym celu
korpus wojsk czechosłowackich, skła-
dający się z jeńców wojennych znaj-
dujących się wówczas na Syberii.
Młoda władza radziecka wydała kor-
pusowi zezwolenie na wyjazd do kra-
ju, a jego transporty posuwały się
koleją transsyberyjską w kierunku
Władywostoku, skąd po zakrętowa-
niu miały odpłynąć do Europy. W
maju 1918 r. był taki moment, że

ła do Władywostoku, kładąc kres in-
terwencji.

Przypominając sobie te fakty z hi-
storii, zbliżałem się do końca podróży.
Dojeżdżałem bowiem do Irkucka, mi-
asta założonego niegdyś przez Kozaków
nad dużą rzeką Angarą, w miejscu,
gdzie wpada do niej rzeka Irkut. Tu
po powstaniu dekabrystów w 1825 ro-
ku zatrzymali się w drodze na zesła-
nie jego uczestnicy. Za nimi jechały
dobrowolnie żony, którym Nikołaj
Niekrasow poświęcił swój poemat „Ro-
syjskie kobiety”. W mieście tym za-
kończył swój antyrewolucyjny pochód
admiral Koleczak, rozstrzelany 7 lutego
1920 roku. Zaglądam do Muzeum Hi-
storycznego. Wiele w nim śladów pol-
skości. Z ekspozycji dowiaduję się, że
tylko po powstaniu styczniowym zna-
lazło się w rejonie Irkucka 22 tysiące



Wiele jest na Syberii takich malowniczych widoków jak nad Morzem Ochoc-
kim.

O
B
E
R
K
I

W. Michoeki

Z
G
R
A
C
J
A

Zygmunt Mikulski

NIE jest prawdą, że Lubelskie Przedsiębiorstwo Krawiecko-Kuśnierskie Przemysłu Terebowego „Gracja” ma do zaoferowania tylko ubiory. Ma jeszcze towar nie wpisywany do ksiąg magazynowych i podawany gratis, a jest nim przeżycie artystyczne spowodowane kontaktem z muzyką i tańcem ludowym. Ze właśnie z ludowym, zdumiewa po raz drugi, ponieważ zakład z racji swego charakteru tak wyczułony na nowocześnieść — ba, na drgnięcia mody — zdawałby się raczej być zainteresowany najnowszymi formami estradowymi. Tymczasem w najlepsze wyciąga sobie z kufra narodowej tradycji te kujawiaki, hopsasy, barwne wstążki, przyspiewki o „tańcowitych dziewczynach” i prosię spojrzeć jak na tym wychodzi. Sam Kolberg za stołem u świętego Piotra uderza się w kolano, kiedy słyszy rytm podskoczny i dźwięczność kapeli. A publiczność sypie oklaskami jak do stałe żyto ziarnem.

Tu warto się nieco nad tym zatrzymać. Bo przecież każda postać folkloru to dziś eksponat muzealny, skansen. Wieś, która nie ma studziennego żurawia, słomianej strzechy, malw pod oknami i przydrożnego kamienia pod wierzbą, dawno przestała dowozić na rynek rozrywkowych zapotrzebowań świeżość swego obyczajowego autentyku. A mimo to taniec ludowy nie opuszcza amatorskich estrad. I to nie na zasadzie jakiegoś „retro”, bo „retro” ma co najwyżej rok życia, a ludowość w repertuarze zespołów tanecznych trwa nieprzerwanie od odzyskania niepodległości.

Ze w sposób sztuczny? Niewątpliwie. Żeby „odsztucznić” należałoby cofnąć ekonomiczne i po nich wszelkie inne procesy wdrożone w wieś, ale nawet w ten sposób prezentowany folklor zdumiewa swą trwałością. Co tu sakramentalnie powoływać się na pierwszy wśród zasłużonych zespół Wandy Kaniorowej; każda mocniej organizacyjnie postawiona grupa amatorów

musi mieć kilka par tańca ludowego, a zespół „Gracja” w okresie ostatnich 10 lat dał około 700 występów, a więc więcej niż 1 na tydzień.

Właśnie. Ta typowo miejska gracja. Stażynie na uroczystości jej 10-lecia doktor Adam Stanowski mówił o korzyściach oddziaływania robotniczego ruchu amatorskiego na środowisko to najbliższe — zakładowe, i to dalsze — wojewódzkie. Zespół liczy wprawdzie tylko 50 osób, ale z powodzeniem można mówić o 200 jako, że tyle z artystycznymi zajęciami w „Gracji” ma lub miało styczność, okresowo tylko z różnych powodów ją tracąc. Bywa nawet, że zgłaszają się do zespołu dziewczęta nie zatrudnione w zakładzie, prosząc o przyjęcie ze względu na większą atrakcyjność pracy na estradzie od wielogodzinnych i monotonna wysładywań w kawiarniach zatoczonych jak dworcowe poczekalnie. Ze w „Gracji” jest jakiś magnes, świadczy o tym — rzadkość — fakt znajdowania się w nim jednej trzeciej członków należących doń od początku. A dodajmy, że w obrębie zespołu... zostało zawartych 10 małżeństw.

Trzy niebezpieczeństwa zazwyczaj grożą zespołom przyzakładowym. Pierwsze — to skłonność do komercjalizacji; drugie — to ich charakter z założenia obrzędowo-ceremonialny, czyli działalność zaplanowana jako „część artystyczna” do organizowanych w zakładzie akademii; trzecie — to „nakierunkowanie festiwalowe”, a więc ustawienie programu pod kątem zewnętrznych efektów prestiżowych. Pierwsze tu odpada, skoro występy — jak zaznaczono — odbywają się bezpłatnie; drugie i trzecie jest realne tylko wtedy, kiedy wymienione założenia traktuje się wyłącznie, a ten wypadek w „Gracji” nie zachodzi. Owszem, zatańczą na własnej uroczystości, wyjadą na festiwal, nawet nie bez sukcesu w postaci zajęcia jednego z czołowych miejsc, ale przede wszystkim — można to tak określić — uzupełniają działalność macierzystego zakładu. Gracja to wdzięk. Jeśli zakład ów wdzięk rozprzestrzenia dobrze skrojonymi wdziękami, zespół propaguje go dobrze wykonywanym tańcem. Nożycem sekunduje hopsas. A nawet ten hopsas często wychodzi na czoło. Naczelny dyrektor Czesław Kosik wcale nie ukrywa, że jeśli przedsiębiorstwo ma gdzieś trudności z nabyciem surowca, wysyła tam swój zespół i trudności tonieją.

Czy nie świadczy to o sile artystycznego oddziaływania, jeśli się liczy ono na rynku wartości organizacyjnych i handlowych?

To już wymieńmy pokrótce runy tych wyjazdów. A więc i miejsce w eliminacjach wojewódzkich II Festiwalu ZZ w Kraśniku, i miejsce na II Wojewódzkim Przeglądzie Zespołów Folklorystycznych w Puławach, tournée po województwie kozłowskiem, udział w Panorami XXX-lecia w Warszawie. A zagranicą? Jest i zagranicą: Francja, Austria, Czechosłowacja, Węgry, Związek Radziecki, NRD. Może szczególnie wymienić by tu należało Dijon, z którego chórem mieszanym „Gracja” nawiązała coś w rodzaju artystycznej kooperacji, występując z nim wspólnie na naszych estradach w lipcu 1970 roku. Tych zagranic przez 10-lecie było w sumie 9. Arytmetyka wskazuje, że o jedną za mało. Do odrobienia w dziesięcioleciu następnym.

Najwyższy czas wymienić nazwisko, bez którego trudno sobie wyobrazić tę skrzynię pełną brzęków, dźwięków, świetlistości, sprężystości, barw i braw, sygnalizującą się z każdego występu w majątek zespołu. Oficjalnie mówi się „kierownik artystyczny i choreograf”, a chodzi o jednego z najbardziej zasłużonych krzewicieli folkloru i w ogóle ruchu artystycznego na Lubelszczyźnie. Ale w ten sposób to już wiadomo: Stanisław Leszczyński. Jeden z najfortunniejszych organizatorów, najszcześniejszych ogrodników zamitowań folklorystycznych od wielu lat. I życzyć — by przez wiele lat następnych. To samo — kierownikowi muzycznemu Kazimierzowi Kosińskiemu. Jego umiłowanie ludowej nuty i umiejętność jej zagrania, zgrania, podania słychać na przykładzie kapeli. Święta kapela. I świetny zespół.

To widać było na jubileuszowym koncercie dnia 28.VI.1975 r. w „Chatce Żaka”. Trzy godziny tego występu to trzy godziny obcowania z rdzeniem kultury ludowej, wprawdzie już nie żywej przez żadną z dzisiejszych form obyczajowych, ale nie przez to nie zmniejszonej w znaczeniu. Nie tylko za życia Chopina miał głos Polonez A-dur. Przez to, że wykonawcy koncertu ile się dalo wydobyli skrzekania, wirowania, dźwięku i polotu z chłopięcego obertasa, kujawiaka, krakowiaka — zasłużyli na wdzięczność swojej całej dotychczasowej widowni. A bez pudła można to prorokować na przyszłość.

TEN festiwal zaczyna się hejnałem na trombitach, a kończy przeważnie deszczem. Tak już widać w niebie wypada „co by się wypadało”. A do nieba w tych dniach festiwalowych bliżej tu, niż gdziekolwiek. Ludzie powiadają czasami że sztuka ich wywyższa; w Kazimierzu dopiero zobaczyłam, że sztuka to podnózek, nie korona. Nie opuszcza się chmurka na głowę, tylko głowa jej dosięga. Stąd mamy raz do roku nowych kazimierzowskich świętych, Spiewaków, muzyków, poetów.

Festiwal (jakie to niestosowne słowo!) — raczej jarmark, odpust, zabawę — zrodziła poezja. Nie śniły się Janowi Pockowi kazimierskie piękności, nie chciał tu przyjeżdżać ten człowiek nieśmiałej natury, nękany chorobą, a mimo to on właśnie jest patronem owych spotkań urzekających prostotą i radością życia. Jan Pock, poeta z Kalenka koło Markuszowa, był, jak wszyscy tu przybywający, wyznawcą miłości do swojej ziemi. Czy ci, którzy tu przyjeżdżają, znają wiersze Pocka? Nie zawsze. A podobni są do siebie jak dwie garście gliny. Dobra to glina: i dzban z niej ulepić, co mu się ucho nie urwie, i małego kogutka, który zagwiżdże gdy ci smutno.

Przywożą ze sobą kolorowe spódnice, koronkowe czepki, prababcine zapaski, instrumenty w przedwojennych futerałach, kapelusze z otrzępanym z kurzu piórkami, przebierają się i zaczyna się święto. Nawet nie widzą ile między zapaskami pachnącego ziela, suszonego siana, słonka i przysłów na niepodogód. Ile dowcipów pod wąsem, ile ptaków za pazuchą, ile grzechów w dziesięciu palcach. To także poeci, których gdy odejda, przyjdzie nam oplakiwać tak jak na pogrzebie Jana Pocka. Umarł 26 czerwca 1971 roku. Na parę dni przed kolejnym festiwalem w Kazimierzu, na dwa tygodnie przed żniwami. Głos Jana Pocka zabrzmiał w tamtej chwili jak dzwon z Czarnolasu:

*Kiedy już życia dokończę
za mym ostatnim dniem żytnym
kropkę postawi słońce
nad nią olbrzymi wykrzyknik.*

*I będzie na mej mogile
rósł razem z płazem mej żony
poezja owadzi skrzydeł
wśród kwiatów wśród traw*

zielonych.

Są tacy ludzie, których chciałoby się słuchać długo, jak najdłużej, a potem zabrać do domu na pamiątkę jak obrazczek na szkle kupiony na jarmarku. Głupie porównanie. Bo czy można zapakować, zamknąć, narysować, nazwać babę, która jest żywołem? Górkim żywołem z Raby Wyżnej? Już nie pomnę kto miał ów szczęśliwy pomysł, aby Wandę-poetkę, Wandę-urodę, Wandę-artystkę uczynić konferansjerem Festiwalu Kapeli i Spiewaków w Kazimierzu. Konia mu z ręką i to jeszcze dziś. Wanda Kościelniak-Czubernatowa, zwana „Czubernatką”, oczarowała publiczność, jurorów, kapela, a nawet płaczące wierzby nad Grodzem jakby przestały pochłapywać. Tylko jej partner — konferansjer Andrzej Stęziak — wdychał raz po raz:

*Stworzyłeś Czubernatkę, Boże,
Na obraz diaska z piekła,
To już mi nic nie pomoże
kie mnie tu z sobą przywołę.*

Kropkę postawi słońce

Maria Brzezińska

Jeszcze nie było takiego festiwalu, żeby się jakiś Wandzin wierz nie narodził. O muzykantach, o glinianym kogutku, o nutkach jaworowych. A przychodzi taki wierszyk na świat po bożemu: na deskach z tyłu sceny, gdy drżą od mocnego przytupywania, na murku pod wierzba, na stoisku jarmarkowym, gdzie znajomi Czubernatki „sprzedajom” koronki, albo świątki, albo inne cudeńka. Na wesole przybywają życie te Wandzine zwrotki. „Wielkie granie”, które niesie się tu bez przerwy, jest jak wiatr; unosi karteczkę i rzuca ją gdzieś między ludzi. Może ktoś przeczyta? Może się komuś spodoba?

Młoda Czubernatowa ma w sobie mądrość wielu pokoleń. Mówi językiem pradziadków, ojców zawiścią wrażliwość na przyrodę, na świat, matkę miłość do dzieci i wszystkich żywych stworzeń. Wanda jest pełna czułości i radości życia. Równie łatwo pisze wierszyk liryczny, jak choćby o tym dziadku, który jest smutny, bo myśli, że na cmentarz idzie sam, jak i satyryczny, złośliwy. Jest to połączenie występujące bardzo często w literaturze ludowej. Po prostu ludzie mądrzy potrafili popatrzeć na świat z różnych stron. Kiedy w czasie ostatniego festiwalu rozmawiałam z poetką gdzieś między jednym a drugim jej wyjściem na estradę

— Wanda powiedziała: „Wie pani, jak ludzie strasznie zapominają, że trzeba żyć”.

Przyjeżdżajcie na festiwal! To tylko raz w roku. Potraktujcie to jako rekolekcje dla duszy, która wątpiła w naturę.

O Józku Brodziej, muzyku z Koniakowa, powiedział Staszek Jaskółka, konferansjer festiwalu, że Józek potrafi grać i na palcach u nogi. „Ino mu się nie chce kierpców zezuwać”. Józek należy do najbardziej czarujących postaci kazimierskich spotkań. Łatwo to było spozrzeć w tym roku, kiedy to obicawszy — nie przyjechał. Ileż osób poczuło zawód w sercu. Józek jest malowniczy jak cały góralski strój. I jeszcze ta długa broda, którą nosi, by nikt zapewne nie wątpił, że on się tak naprawdę nazywa. Multiinstrumentalista mówi gwara i dosyć niechętnie przyznaje się do tych studiów ukończonych w Gdańsku, jakby mu to odbierało nominację na artystę ludowego.

Ludzie równie chętnie słuchają jego gry jak i ucinają sobie z nim pogawędki. Józek ma swój bardzo bogaty świat i nie skąpi go innym ludziom, a dzieciom zwłaszcza. U siebie w Koniakowie prowadzi zespół dziecięcy, dla którego sam wyszukuje stare ludowe instrumenty, a jak trzeba to i okarynę ulepi. Mówił mi kiedyś, że jego największym marzeniem jest prowadzić dom dziecka (to w związku z tą jego pedagogiką), bo tam zespół muzyczny, folklorystyczny miałby większe znaczenie niż gdzie indziej. Dzieci — sieroty pozbawione są nie tylko matki i ojca, ale i kawałka własnej ziemi, którą mogłyby kochać, uważać za swój dom. Ta góralska muzyka dałaby im na własność zielone góry Beskidu Śląskiego, rozległe doliny, wiosną kwitnąca tarlana, a zimą białe śniegi. Dałaby im — a może daje i nam, półsierotom zagubionym w porankach bez radości?

Kiedy górale grają na trombitach — Józek Broda milknie. Dźwięk tego prastarego instrumentu jest jak ryk wymarłych zwierząt, jak górskie echo, które budzi w uśpienia zaklętych rycerzy. Józek mówi wtedy, że jest to wyzwanie rzucone ludziom współczesnym, aby więcej kochał zieloną trawę niż czerwone guziki.

W MAŁYM, malowanym na biało pokoiku panuje półmrok, rozproszony jedynie światłem żarówki z nad umywalki. Nie wielkie okno w głównej, wewnętrznej ścianie z białoniebieskimi firankami jest odslonięte. Za oknem chyba jesień, bo gałęzie rosnącego tam drzewa, widoczne na tle smugi światła z ulicznej latarni, pozbawione są liści. Po prawej stronie pokoju stoi niepościelone łóżko. Obok oszklona szafa, w której na półce stoją jakieś karafki z czerwonym płynem, lekarstwa, szklanki, rakiety do ping-ponga i inne drobiazgi. Na szafie w dużej, ceplastej doniczce rośnie olbrzymi kaktus. Pośrodku — niewielki stół, przykryty wyblakłym obrusem, a na stole magnetofon i nocna lampka. Obok łóżka na krześle stoi telefon i w niedłgiej leżą jakieś części ubrania. Po lewej stronie, obok okna, we wnęcie jest umywalka z lustrem i kotarą o takim samym niebieskawym kolorze jak obrus i firanka. Nachylony nad umywalką mężczyzna ubrany jest tylko w ciemnoniebieskie spodnie od piżamy. Właśnie w tej chwili myje ząbki, płucze kilkakrotnie, potem sprawdza ich czystość w lustrze. Uśmiecha się do swego odbicia w lustrze. Słychać odgłos kroków; jest to człapanie, tak jakby ktoś w za dużych kaloszach szedł w deszcz. Mężczyzna na ułamek sekundy nieruchomieje, szybko odwraca się. Po nieoświetlonej ścianie pokoju wolno przesuwają się smuga światła z przejeżdżającego za oknem samochodu. Uspokojony, oddycha z ulgą, ociera pot z czoła, a zewnętrzną częścią ręki dotyka policzków, jakby chciał je ostudzić. Chwilę zastanawia się, a potem zdecydowanym ruchem zapala górne światło, a gasi nad umywalką. Zaciąga również kotary. Teraz w pełnym świetle widać, że pomimo pozornego bałaganu w pokoju panuje przesadna czystość. Mężczyzna jest młody. Ma dłuższe, rozwichrzone włosy i delikatną młodzieńczą jeszcze twarz. Policzki ma zarumienione jak u ludzi, którzy mają gorączkę. Mocno owłosiona klatka piersiowa wydaje się być trochę zapadnięta. Zaczyna się najpierw gimnastykować, potem markując walkę bokserką zbliża się do szafy.

Dostrzega rakiety do ping-ponga, wyciąga je, chwilę zastanawia się, a potem wydobija spod szafy piłeczkę. Zaczyna odbijać ją o ścianę. Twarz mu rozjaśnia się, widać, że zabawa ta sprawia mu radość. Odbija piłeczkę coraz szybciej i szybciej:

— Pręde!... pręde!... pręde!...ej...ej...ej... — krzyczy i odbija coraz szybciej mimo widocznego zmęczenia. W końcu piłeczka spada pod stół, wsuwa się pod niego niezdarne i znajduje piłeczkę, ale zmęczony nie podnosi się z podłogi. Oddycha ciężko. Z uwagą przygląda się piłeczce, patrzy na nią pod światło. Mówi do siebie z wyraźną ironią:

— Pręde!... pręde!... musisz się spieszyć... do czego? pauza. Właśnie... a właśnie, że nie będę się spieszyć, nie będę!... słyszysz, nie będę! Wstał szybko, jakby sobie coś przypomniał. Odsuwa kotarę, zapala światło przy umywalce, kładzie piłeczkę na półce przy lustrze. Powoli nakłada na siebie szczeroczek i szybko myje ząbki, płucze je kilkakrotnie i przygląda się swemu odbiciu w lustrze.

— Nie poznajesz mnie?... Nie? To ja! — Garbi się, bierze piłeczkę do ręki, kładzie na dłoń i dmucha na nią. Piłeczka spada i toczy się pod łóżko. Nalewa w szklankę wody, coś miesza, potem przez wkład do długopisu dmucha w szklankę aż piłeczki stają się puzate. Puszczą dużą, kolorową bańkę. Dmucha na nią, aż ulatuje wysoko i pęka. Stawia nocną lampkę na szafie i zapala ją. Gasi górne światło, ustawia kłosa lampki tak, aby rzucała tylko duży punkt na podłogę. Siada w tym punkcie, puszcza dużą kolorową bańkę, lekko na nią dmucha, wstaje i idzie za nią powoli. Śmieje się do niej jak dziecko. Idąc tak, wychodzi z kregu światła i wchodzi na krzesło, które przewraca się z hukiem. Słychać loskot, potem suk biał. Zapala górne światło, potem kulejąc, zdejmując z szafy lampkę i stawia ją na stole, a szklankę na umywalce. Bierze do ręki szczeroczek do zębów. Patrzy w lustro mówi:

— To ja, nie poznajesz mnie? Słychać odgłos kroków, tak jakby ktoś

w za dużych kaloszach szedł w deszcz. Odwraca się szybko i nie dostrzegając niczego uspokaja się. Garbi się i mówi do swego odbicia w lustrze:

Zalotnie: — Toś nie ty był tu wczoraj?

Ironicznie: — Toś nie ty był tu wczoraj?

Obojętnie: — Toś nie ty był tu wczoraj?

Groźnie: — Toś nie ty był tu wczoraj?

Krzycząc: — Toś nie ty był tu wczoraj? Ciszej. Przecież nie przychodzisz tu po raz pierwszy! — Odkłada zre-

Bierze z podłogi kredę i na jednej z gałęzi rysuje duży liść. Ocenia rysunek z kilku kroków.

Normalnie: — Tylko ono żyje.

Basem, markując inną osobę: — Co to jest?

Normalnie: — Drzewo.

Basem, markując inną osobę: — Drzewo, ale jakie?

Normalnie: Wierzba, nie wiem... to znaczy wierzba.

Wstaje, patrzy na drzewo, mówi normalnym głosem bez interpretacji. Chodź, zobacz. A gdyby się tak powiesić? Nie masz sznurka, nie masz

brałem, brałem! Dobrze... nie poza tym... „kobiety rodzą na grobach... okrakiem”... Co? Wcale nie bredzę... Na grobach... o... kra... kiem... okrakiem. Nie, to nie ja wymyśliłem te słowa, nie... jak rozumiesz?... nie zastanawiałem się, ale to mnie się tak przyczepiło, że nie mogę nic zrobić... wcale się nie zgrywam. Przemyśl koniecznie, tak... pa, pa. Odkłada słuchawkę. Pa, pa, pa... Podchodzi do szafy, bierze lekarstwa i zażywa je, ale nie smakuje mu, bo krzywiąc się biegnie i wypłucuje je do zlewu. Potem wyciąga z szafy spirometr, nadyma policzek, aż cała twarz mu czerwienieje. Patrzy na wskazówkę z wyraźnym niezadowolaniem. Ciężko siada na łóżku.

— Muszę coś zrobić... coś zrobić. Namyśla się chwilę, potem włącza magnetofon. — Pręde!... Słychać trzaskanie bicia, szybko przelacza na inną ścieżkę. Z taśmy słychać jego głos:

...a dzisiaj śnił mi się Staszek Diablin. Siedzimy na trawie w naszym sadzie na Stawęcinie. Właśnie kwitną wiśnie. Pytam go, jaką ma korzyść z tego, że jest jehowym... to znaczy wyznawcą Jehowy. A on — jestem szczęśliwy i nie mam ani trosk, ani zmartwień i na niczym mi nie zależy, zresztą nie muszę pracować. Ja mówię, że przecież studiuję, a on — jak widać nie bardzo się spieszy, bo jestem teraz, jak wiesz, na dziekańskim... zresztą zobacz, jaką mam cudownie długą linię życia — potem pokazał mi swoją rękę. Była duża, o taaka... wielka... a śmiejąc się dodał — ja nigdy nie sprzedam swojej linii życia, jak Kazik.

Mężczyzna zatrzymuje taśmę, cofa i puszcza jeszcze raz: „wielka... a śmiejąc się dodał — ja nigdy nie sprzedam swojej linii życia, jak Kazik. Zatrzymuje magnetofon, stawia go na łóżku, włącza mikrofon, sam kładzie się na łóżku i mówi do mikrofonu:

— Dziś znowu nie mogłem pisać, choć czuję w sobie wielką siłę... mam wiele spraw, które warto są utrwalać, przekazania... ale nie mogę... jak siadę nad kartką papieru to... mogę chyba powiedzieć, że jestem poetą, w każdym miejscu, tylko nie nad kartką papieru. To okropne, ale czuję się chyba tak, jak kobieta, której przyszedł czas rozwiązania, ale nie może urodzić... zresztą o czym ja mogę pisać? pauza. Ze mam pauza pewnie jakaś cnotliwa panna uroniłaby łzę... wielką jak choinkowa bańka. Albo o tym, że... te kroki... to okropne człapanie kiedy przyglądam się w lustrze. Ożywia się. Ależ... to ona miała takie drewniaki... dziwię się że teraz dopiero na to wpadłem pauza. Dzisiaj śnił mi się dwaj faceci... skazańcy... jak prowadzą ich na śmierć. Sami sobie zakładają na szyję szero-kie, wojskowe pasy. Zarzucają je na drzewo i chcą się powiesić, ale gałąź do której są przywiązani jest za nisko i muszą klęknąć. Mężą się bardzo. Wtedy grubas z olbrzymimi rękami naciska ich za ramiona do dołu i tak ich dusi. Biegnie potem z zakrwawionymi rękami w moim kierunku... ja myślę, że do mnie, więc uciekam, ale on pobiegł do kaluży i włożył w nią ręce. Po chwili woda w kaluży stała się czerwona jak... Dzisiaj znowu bolała mnie głowa... już tak od trzech miesięcy wstaję z kamienną głową. Sen nie daje mi wypoczynku... właściwie wieczorem czuję się chyba lepiej. Oni chyba wiedzą jaki jest naprawdę mój stan... ale że muszą obserwować... a ja już mam dość tej cholernej obserwacji! Bez ruchu, jestem wykończony... to mnie paraliżuje pauza. To może nawet potrwać jeszcze miesiąc... a może więcej... a ja nie mam czasu... ja przecież nie mogę nie tutaj zrobić, muszę się spieszyć — pauza, spieszyć... do czego?, dokończę do nieba, którego?... na przelaj błoto. Tak, za oknem wiesz... to powiedział chyba Wiesiek, ładnie to powiedział, jak poeta... Ironicznie: poeta... poezja... co to jest poezja? Kiedys Edek Stachura powiedział, że „wszystko jest poezją” i teatr to poezja... a poezja to piękno... na to też już ktoś wpadł, tak trudno coś nowego dziś wymyślić, zawsze ktoś mnie uprzedzi, to co ja nie mogę sprężyć... nie mogę... chyba Warnecki... Jasiukiewicz, ci już dozwili... do czego? pauza do nieba... jak ptaki... Gdybym

Stefan Aleksandrowicz

Monodramu to jeszcze nie koniec albo

IZOLACJA MONODRAM

zynowany szczeroczek i zalamany podchodzi do łóżka; ukrywa twarz w dłoniach. Chwilę tak siedzi, ale jest mu chyba zimno, gdyż nakłada górną część piżamy. Spod poduszki wyciąga papierosa i zapala. Zaciąga się mocno, krztusi. Puszczą kółka i bawi się nadziewaniem ich na palce. Podchodzi do okna i patrzy na zewnątrz. Teraz słychać, jak wiatr wieje za oknem i uderza gałązkami drzewa o szyby. Mężczyzna od czasu do czasu pokaszkuje. W trakcie zasuwania firanek chyba coś sobie przypomniał, bo nie dokończywszy zasuwania, wyciąga z szafy niebieską kredę. Rozgląda się po pokoju, podchodzi do ściany i rysuje na niej duże drzewo bez liści. Ocenia je z odległości kilku kroków. Jest wyraźnie zadowolony. Spod poduszki wyciąga jakieś kartki maszynopisu, chwilę coś w nim szuka, potem siada pod narysowanym na ścianie drzewem. Koncentruje się chwilę, potem mówi:

Cicho: — A gdyby tak machnąć na niego ręką.

Z żalem: — A gdyby tak machnąć na niego ręką.

Groźnie: — A gdyby tak...

Basem, markując inną osobę: — Ukaralby nas. Patrzy do maszynopisu i czyta normalnym głosem. Milczenie, spogląda na drzewo. Patrzy na narysowane drzewo.

Basem, markując inną osobę: — Ukaralby nas, tylko ono żyje. Patrzy na drzewo. Tylko ono żyje.

sznurka, nie, to nic z tego. Chodźmy, zaczekaj, mam pasek.

Podchodzi do krzesła, z leżących tam spodni wyciąga pasek, robi pętlę i zakłada sobie na szyję. Podchodzi do drzewa, markuje, jakby chciał przytwierdzić koniec do narysowanej gałęzi. Potem idzie do lustra i przygląda się sobie z paskiem na szyi. Wybuch szalonym śmiechem, tak, że się aż krztusi:

— Co? Do twarzy mi... pewnie byś się ucieszył...cha...cha...cha...cha... nie myśl, że jestem tak głupi, jak myślisz... ja też chciałbym jeszcze trochę pożyć... śmiejesz się!... co?, jeszcze zobaczysz... napiszę coś tak wielkiego, że rzucę chamstwo na kolana, krzyknę wtedy!... na kolana chamstwo!... na kolana! Wybuch histerycznym śmiechem. Cieszyłbyś się, jakbym się powiesił, cha... cha... wszak „kobiety rodzą na grobach... okrakiem”.

Sylabizuje: — Kobiety... rodzą... na gro... bach... o... kra... kiem... nonsens... Idiotyzm...

Rzuca w kąt pasek. W tej chwili dzwoni telefon. Mężczyzna podnosi słuchawkę i rozmawia jak urzędnik: — Nie mogłem... oczywiście że przyjdę... nie, dzisiaj hejnał mnie nie obudził... nie... nie...

Zapala papierosa, zaciąga się tak mocno, że aż się krztusi: — Nie, już nie palę... już od dwóch tygodni nie palę. Puszczą kółka. Tak... dzisiaj nie mam czasu... tak, a co grają? pauza. Nie, nie... oczywiście że brałem... no

Dokończenie na str. 12

IZOLACJA

Dokończenie ze str. 11

mógł obejrzeć Henryka Borowskiego w roli Filipa, ale on już jest taki stary i dlatego muszę się spieszyć — Uśmiecha się — tak długo głowiłem się nad tytułem tej nowelki, a to przecież takie proste „jak ptaki”, to chyba dobry tytuł... poetycki... ale muszę się spieszyć. Chciałbym zostawić jakąś cząstkę siebie...

Wytacza magnetofon, podchodzi do zlewu, myje zęby, patrzy w lustro. Słychać odgłos kroków; jest to człapanie, tak, jakby ktoś w za dużych kaloszach szedł w deszcz. Potrzeba głowa, jakby chciał otrząsnąć się z przykrego wrażenia, patrzy po pokoju. To znów wiatr wzmógł się i uderzył gałązkami drzewa o szybę. Uspokaja się. Płucze zęby, potem leje sobie wodę na kark, wyciera się dokładnie złotym ręcznikiem. Wiatr znów uderzył gałązkami o szybę. Podchodzi do okna. Chwilę patrzy na drzewo, potem zasuwą dokładnie nieosłoniętą część okna. Siada na łóżku obok magnetofonu. Zapala papierosa. Krztusi się. Coja taśmę i słyszy swój głos:

— Warnecki... Jasiukiewicz, ci już doszli do czego? pauza. Do nieba... jak ptaki... Gdybym mógł obejrzeć Henryka Borowskiego w roli Filipa, ale on już jest taki stary i muszę się spieszyć — tak długo głowiłem się...

Wytacza magnetofon, bierze spod poduszki duży kuchenny nóż, przesuwając stół, cofa się do tyłu, mierzy chwilę w narysowany pień drzewa, potem szybkim ruchem rzuca go zza głowy. Podchodzi do ściany, szuka śladu. Nóż jednak nie zostawił śladu. Odchodzi wyraźnie zawiedzony i zły. Patrząc na ostrze noża zamysłą się: — Rodzą na grobach... okraciem... nonsens... nonsens... nonsens... dlaczego okraciem? On chyba był niernormalny, to wariat! — pauza — a może geniusz — pauza — muszę coś zrobić! muszę coś zrobić, bo mnie szlag trafi.

Podchodzi do lustra, przygląda się swemu odbiciu. Słychać odgłos kroków; jest to człapanie, jakby ktoś w za dużych kaloszach szedł w deszcz. Odwraca się. Dzwoni telefon. Podchodzi do telefonu, waha się chwilę czy podnieść, potem siada na łóżku. Telefon dzwoni jeszcze raz, teraz dłużej. Czeka aż przestanie. Podchodzi do telefonu, wykręca jakiś numer.

— Słucham?... to ja słucham. Nudzę się? Nie, nie nudzę się... w porządku. Tak, tak, przyjdę na pewno. Wpadłem na ciekawą koncepcję... tak, tak, drzewo powinno być narysowane. Oczywiście tak... na ścianie i grać do tego drzewa pauza. Tak, tak... a później w scenie z chłopcem, tak... on powinien puszczać bańki... mydlane... no mydlane... normalne, z mydła... wcale się nie zgrywam. Rozegrałem już tę scenę i tylko tak właśnie będą ją grać... tak... a potem gra normalnie chłopca, jak w teatrze... tak to by poszerzało kontekst... to co?... a kto może wiedzieć o co mi naprawdę chodziło pauza. Ja też mam gdzieś... a co to mnie obchodzi... Głośno: Nie podnoś głosu!... Ze złością odkłada słuchawkę. — Nie lubię, jak ktoś na mnie podnosi głos. Nie wie, co ze sobą zrobić, chodzi zdenerwowany po pokoju, podchodzi do kranu, myje zęby, unikając patrzenia w lustro, zaciąga kotarę od umywalki, podchodzi do telefonu, wykręca jakiś numer.

— To ja... co robisz... bardzo się cieszę, czuję się okropnie. Nie mogę nic zrobić... mężczy mnie ta samotność. Oni

też nie chcą mi powiedzieć jaki naprawdę jest mój stan... bardzo mi brak ciebie... tak... bez sensu imię się — o, to ma wyższy metafizyczny sens. Tak, dzisiaj trochę lepiej... trochę mniej... przypominasz mi ciągle jak pielęgniarka... chyba, że chcesz mi popsuć wieczór... wiem, wiem że zdenerwowanie ale ja już mam dość tego... każdy mi tylko przypomina i przypomina... pewnie, że wiem. Szybko Aniu, Aniu, A... Odkłada słuchawkę od ucha, nie wie co z nią zrobić. — Aniu — mówi do słuchawki — chciałem ci, Aniu, powiedzieć, że cię kocham... naprawdę cię kocham.

Na ścianie nad drzewem ukazuje się zarys twarzy, ładnej, czarnowłosej dziewczyny. Ma lekko przechyloną twarz, tak, że część włosów opada jej na czoło. Uśmiecha się zalotnie. Mężczyzna nie patrząc na ścianę mówi: — Śmiejesz się... nie... wcale się nie zgrywam... nie zgrywam się... wcale nie jest jasne... ja nic z tego nie rozumiem pauza. Opowiedz mi sen?... Szliśmy kolorową, pełną białych tubinów łąką... nie mówiliśmy do siebie nic, ale czułem się tak szczęśliwy... Cieszę się tak szczęśliwy... Przemyslałem wiele i mogę ci powiedzieć, że chciałbym mieć z tobą syna. Zarys twarzy dziewczyny na ścianie błędnie, potem się rozplywa.

— Głupi byłem, że wtedy zgodziłem się... mieszkaliśmy w białym dworcu mego dziadka... choć ja go nie pamiętam, ale mój dziadek na pewno miał dworek pauza i dużo pięknych koni. Nawczyłbym go jeździć na koniu... Aniu... Znowu pojawia się zarys uśmiechniętej twarzy czarnowłosej dziewczyny. — Uśmiechasz się... ty tylko myślisz o sobie... żebyś już wyszedł stąd... może bym zaczął wreszcie coś pisać. Muszę coś zostawić... ja wiem, teraz bardzo boli mnie głowa, ale jak wyjdę pospaceruję po parku, to mi przejdzie... na pewno przejdzie... rzucę teatr... teatr... nie, od teatru już nie jestem w stanie się uwolnić pauza. Mam już dwadzieścia pięć lat a jeszcze nie nie zrobiłem... nie nie zrobiłem do końca. Śmiejesz się pewnie, że się tak odstawiam... chcę, żebyś wiedziała z kim się zadajesz... chcę, żebyś odeszła! żebyś mnie rzuciła!... żebyś mi dała wreszcie spokój! Twarz dziewczyny staje się nieostra, znika.

— Przepraszam. Szybko, jakby z wyrzutem do siebie: — Przecież nie to miałem na myśli... ale boli mnie głowa, już tu dłużej nie wytrzymam. Głośno: — Mam dość tego siedzenia!... tej gry!

Rzuca słuchawkę, krzyczy na cały pokój: — Mam dość tej gry! tego monodramu!... mam dość tej gry! Chwile się na nogach, krztusi. Zataczając się idzie ku umywalce. Z wieszaka ściąga ręcznik, moczy go w wodzie i przytyka do czoła potem siada zmęczony pod ścianą. Dostrzega narysowane na ścianie drzewo. Złamanym głosem mówi:

— A gdyby tak machnąć ręką... Z trudem wstaje, podchodzi do zlewu, namydlą twarz, mówi do swego odbicia w lustrze:

— Cieszyłbyś się pewnie gdybym machnął ręką... nie?... Słychać odgłos kroków; jest to człapanie, tak jakby ktoś w za dużych kaloszach szedł w deszcz. Uderza pięścią w lustro. Słychać trzask rozbitego szkła. Odgłos kroków oddala się. Szybko przytyka skażoną rękę do ust i zachłannie spiży spływającą mialymi kropelkami jasnoczerwoną krew: — Ja muszę! ja muszę!... ja muszę!... Wyczerpany opiera się o ścianę. Mówi dobitnie: — Monodramu to jeszcze nie koniec!...

Okno - lica - szyby - ki

Romantyczny? Pragmatyczny?

PRY ul. Słonecznej w Lublinie stoi dom w ogrodzie. Jego stychy zamieniono przed laty na pracownię plastyczną; jeszcze stół wielki zajmuje środek, jeszcze teki graficzne leżą na regałach, jeszcze woda kapie z kranu. Ale tego, który pracował tutaj rano i wieczorem, już dawno nie ma. Ludzie żyją, umierają — normalna sprawa, bezwzględna kolej rzeczy, więc nie ma sensu sentymentalnie gaworzyć. No tak, sensu to może nie ma, ale czy ostatecznie wszystko co nasze i warte wspomnieć mieści się w racjonalnym porządku?

Juliusz Kurzątkowski pracował w latach trzydziestych jako nauczyciel rysunku w lubelskiej szkole ćwiczeń. Wpajał uczniom zasady myślenia plastycznego, wskazywał na niepodważalne reguły praktyki rysunkowej, od dawna i po wsze czasy — jego zdaniem — obowiązujące. Był także działaczem Lubelskiego Związku Teatrów i Chórów Ludowych, zaznaczył swoją obecność w Towarzystwie Przyjaciół Nauk. Zasużony, godny szacunku społecznik, dobry obywatel, a przy tym faktyczna głowa domu, zupełnie odmienna od naszych dzisiejszych męskich główek, sparalizowanych totalną feminizacją życia.

Ale w pracowni ujawniał się inny Kurzątkowski; sentymentalny, przetwarzający rzeczywistość na modłę swych marzeń, nostalgicznie spoglądający w przeszłość. Często rekonstruował pastelami i piórkiem nie istniejące atyki staromiejskich kamienic, przedstawiał swoje wyobrażenia renesansowej fasady kościoła Bernardynów. Z wypraw krajoznawczych do Łomnicy i Piwnicznej przywoził rysunki zamków — podobne do pierwowzorów, były zarazem zanurzone w klimacie baśni. A na marginesach szkiców notował codzienne, prozaiczne dyspozycje: „chleb, masło, wędlina”.

Próbował reporterki graficznej, idąc śladami swych świetnych poprzedników włóczył się po peryferiach miasta, zaglądał do cyrku, na wyścigi konne. Często rysował młyn na Czubach, którego wod-

na okolica stanowiła kąpielisko miejskie. Rysując wokół drzewa zamieniał w wysoki „tulipanowiec”, otulał je nierozłąną pościelą. Konny pojazd żydowski, którego głównym elementem była karoseria zdezcelowanego autobusu, przelatoczył na papierze we wspaniale rozpędzony wehikuł disneyowski. A przecież miał do czynienia ze zwyczajną bryką technicznie pokrzyżowaną, która kursowała z dworca w pobliżu kościoła św. Ducha do Piask i Bełżyc. Rysował gazownię miejską — nie ma po niej śladu — uwieczniał domy Staro Miasta, które spłonęły podczas wojny.

Cykle rysunków lubelskich posiadają wartość dokumentalną, ale w tym sensie, że przedstawiają wyobrażenia artysty o mieście, w którym żył, świadczą o jego wrażliwości, o jego pragnieniach. Są to jakby autoportrety Juliusza Kurzątkowskiego, na których nie ma twarzy artysty, ale jest dusza człowieka. Niektóre przecież rysunki i akwarele spełniają kryterium zwyczajnej dokumentacji i może należałoby zainteresować nimi instytucje, które gromadzą ikonografię Lublina. Mam na myśli choćby rysunki staromiejskich kamienic, zniszczonych podczas ostatniej wojny, a następnie odbudowanych w latach 50-tych, co zresztą także zostało odnotowane przez pana Juliusza.

Kiedy pracował przy tym wielkim stole na poddaszu, śpiewał. A kiedy wchodził w życie społeczne, działał z rozmachem, okazując się najbardziej czynnym organizatorem lubelskiego Związku Polskich Artystów Plastyków, który powstał 2 sierpnia 1936 roku. Nieco wcześniej Kurzątkowski zaprojektował malarstwo do jakiegoś bliżej mi nieznanego klubu literacko-artystycznego w Lublinie, które zresztą nigdy nie trafiło na ściany. Czy chodziło tu o kawiarnię Semadeniego, dzisiejszą „Regionalną”, gdzie regularnie spotykali się artyści lubelscy, a później odbywały się zebrania zarządu ZPAP?

Projektował plakaty i ulotki reklamowe, zajmował się ilustracją. Po wojnie jako stypendysta Ministerstwa Kultury i Sztuki wyprawił się na Ziemię Zachodnią, gdzie śliczował zabytki. Powstały wówczas serie malarskich rysunków, lirycznych i impresyjnych, jakby spokrewnionych z twórczością Noakowskiego. Ale nie darował sobie, aby nie uwiecznić wołu, który ciągnął karotę na ulicy jakiegoś dolnośląskiego miasteczka. Szukał w życiu bajki, refleksów literatury opowiadającej o dawnej Polsce, lecz najczęściej znajdował tereny kolejnego działania, które traktował wyjątkowo rzetelnie, odpowiedzialnie.

Więc kim był Juliusz Kurzątkowski, artysta zmarły w Lublinie w 1952 roku: sentymentalnym „romantycznym”, czy zdyscyplinowanym pragmatykiem?

JK

BYŁO południe, kiedy znalazłem się w San Francisco. Nelson swego czasu — było to w pierwszym dniu naszego poznania — dał mi list do swego przyjaciela w tym mieście. Mówił, żebyśmy poszli do niego, to on mnie u siebie zatrudni.

Zatrzymałem się przy małej budce i wybrałem pierwszą lepszą gazetę. Chodziło mi nie tyle o nią, ile o informację, gdzie znajduje się ulica, przy której mieszka przyjaciel Nelsona. Przy okazji ucałowałem z tą kobietą dłuższą rozmowę. Ona pochodziła z Ukrainy a mąż jej, który również stamtąd przyjechał przed laty, miał wypadek samochodowy i już od dawna nie żył.

Zaprosiła mnie do siebie do domu. Mieszkała na 12 ulicy w hotelu; ten hotel był kiedyś jej własnością, lecz musiała go sprzedać. Miała córkę, pannę 20-letnią. Matka była w wieku czterdziestu kilku lat.

Ukrainka pokazała mi swoje dwa pokoje, wyjechała z dziećmi i córką. W tym czasie, kiedy raczyłem się kawą, Ukrainka pacykowała się przy lustrze. Po chwili weszła córka. Była, trzeba przyznać, ładna i ponętna. Przywitała się ze mną i jakby nigdy nie zajęła miejsce koło matki przy lustrze.

Obie panie zaprosiłem na obiad do pobliskiej restauracji w której na odchodne kupiłem butelkę whisky. Wczorajem we trójkę wypiliśmy tę wódkę. Potem zacząłem się żegnać, twierdząc, że muszę sobie znaleźć pokój w hotelu. Ukrainka zatrzymała mnie na noc.

Rano szybko się umyłem i pomimo nalegania o pozostanie na śniadanie wyomówiłem się pilnym spotkaniem. Miałem dość tej nocy w towarzystwie dwóch kobiet.

Mr Harrison do którego miałem list, był w średnim wieku i posiadał małą fabryczkę, w której produkował tabletki nasenne i przeciwskorupki. W fabryczce pracowały same młode kobiety, był tylko jeden mężczyzna, który pełnił funkcję laboranta. Tej fabryczki zrealizacja przyjechał z wynagrodzeniem tygodniowym 50 dolarów. Pokój znalazłem

sobie na peryferiach miasta w rodzinie meksykańskiej u pewnego młodego malarza.

Pracowałem przy wyrobie tabletek. Robota była lekka i czysta. Po krótkim czasie zaprzyjaźniłem się z otoczeniem i życie moje coraz bardziej nabierało uroku. Wkrótce kupiłem sobie za 275 dolarów używany samochód marki „buick”. Prawo jazdy zdobyłem w ciągu godziny wystarczyło tylko umieć prowadzić samochód.

Pewnego razu, a było to w piątek po pracy, wróciłem do domu, chciałem wyjechać na weekend do Nowego Meksyku. Naraz zadzwonił telefon i usłyszałem miły, kobiecy głos: „Pojdźmy potańczyć, Jasiu!” Zapytałem, kto drzewo, lecz otrzymałem tylko w odpowiedzi adres mówiącej. Tak więc zrezygnowałem z wyjazdu do Nowego Meksyku. Pojechałem pod wskazany adres. Drzwi otworzyła mi znajoma Meksykanka, z którą razem pracowałem. Otóż Bonita — bo tak ją nazywali w pracy — powiedziała mi, że ma chęć zabawić się ze mną. Pojechałszy do pięknego meksykańskiego lokalu.

Tutaj bawiliśmy się do późnej nocy. Po zabawie chciałem ją odwiedzić do domu, lecz ona się nie zgodziła, powiedziała: „Lepiej pojedziemy do ciebie”. Zgodziłem się. Byliśmy oboje na raumie. Całowaliśmy w wszędzie, pierś miała duże i jędrne. Dalem z siebie wszystko, czego świat mnie dotychczas nauczył. Kiedy obudziłem się było już południe. Bonita była tak wyczerpana, że pomimo różnych prób nie udało mi się jej znów rozpaść.

Mineły dwa lata. W lipcu 1953 roku przyjechał do Harrisona Nelson K. Hamilton. Zaprosił mnie do ustronnej restauracji, w której przedstawił swój plan. Nie wiedziałem co to jest marihuana, mówił mi jednak, że za jeden przewóz mogę otrzymać trzy tysiące dolarów. Takich przewozów będę miał w miesiącu trzy albo cztery. Twierdził również, że z Harrisonem już wszystko ustalił: kiedy będę chciał przerwać pra-

POD PARAGRAFEM

Zjazd koleżeński

W PROCESIE trzech kobiet, dyrektorki, księgowej i kasjerki jednej ze szkół lubelskich, zeznają były uczennice tej szkoły. Oskarżonym, niemiłym już wiadom, prokurator zarzuca zapamiętanie ponad pół miliona złotych w ciągu 12 lat. Sprawa jest bardzo smutna i w pewnym sensie unikalna, bo szkoła, była liceum TPD-owskie dla panienek, należała do najlepszych w Lublinie, pani dyrektor zaś należała do osób eksponowanych w naszym mieście. Natomiast zapamiętane pieniądze pochodzą z zasiłków i stypendiów dla najbardziej ubogich uczennic. Księgową i kasjerkę od półtora roku siedzą w areszcie, wobec dyrektorki nie stosowano środka zapobiegawczego w postaci aresztu.

Jest koniec czerwca, upały aż dech zapiera. Na korytarzu sądowym, przed salą, gdzie ma się rozpocząć kolejne posiedzenie w tej sprawie, roi się od młodych, eleganckich kobiet. Dorodna, szczerpła i wysoka młodzież. Długie, rozpuszczone włosy. Długie, barwne suknie letnie. Dziewczyny mają po 25 lat, albo wam ma zeznać rocznik maturalny z 1969 roku.

Dzisiaj w większości to już mężatki po studiach. Przedstawiają się sędziowi: magister, inżynier ekonomista, inżynier budownictwa, inżynier rolnik... Niektóre nie mieszkają nawet w Lublinie. Nie przypuszczają, iż po latach przyjdzie im spotkać się na swego rodzaju zjeździe koleżeńskim w takich okolicznościach.

— Czy świadek otrzymywała stypendium w szkole? — pyta sąd.

— Bardzo krótko, przez dwa miesiące w ósmej klasie.

— A potem?

— Potem już nie, odebrano mi, bo cała klasa poszła na węgry 1 kwietnia, i do ukończenia szkoły nie otrzymywałam stypendium, ani żadnej zapomogi.

— Więc świadek, będąc w jedenastej klasie, nie otrzymywała żadnych świadczeń materialnych ze strony szkoły? — upewnia się sąd.

— Nie.

— Czy na tej liście figuruje nazwisko świadka przy kwocie 500 złotych? — sąd podsuwa odpowiedni dokument.

— Tak, figuruje moje nazwisko panińskie.

— A czy podpis jest świadka?

— Nie, to nie jest mój podpis.

— Kiedy świadek zrobiła maturę?

— Na początku czerwca 1969 roku.

— Lista wypłat zapomóg jest z końca czerwca. Czy świadek wtedy była w szkole?

— Nie, wówczas już byłam na wakacjach.

Na sali sądowej księgowa i kasjerka siedzą razem, w asyście milicji. Osobno, odwrócona niemal tyłem do swoich byłych współpracownic, siedzi pani dyrektor. Obrońcy księgowej i kasjerki składają wnioski o uchylenie aresztu wobec oskarżonych. Obie są ciężko chore, na co istnieje zaświadczenie więziennego lekarza. Jedna potrzebuje stałej opieki lekarskiej, druga nawet leczenia operacyjnego, ale nie zgadza się na to leczenie w warunkach więziennych.

Sąd udaje się na naradę. Siedzimy na sali w milczeniu, upał doskwiera. Pani prokurator zdjęła tożę, mecenas wyszedł na papierosa. Czekamy na decyzję sądu. W pewnym momencie jedna z aresztowanych mówi głośno:

— Ktoś sobie lata po wolności, a tu człowiek siedzi już półtora roku, wycieńczony, zdechnąć można pod narkozą w takich warunkach...

Sąd naradza się blisko godzinę. Zdążyłem przeczytać w „Sztandarze” opowiadanie z teki Hitchcocka pt. „Z zegarmistrzowską precyzją”, wypaliłem kilka papierosów. Sąd postanawia odroczyć rozpoznanie wniosku adwokatów do czasu zbadania obu oskarżonych przez komisję lekarską w więzieniu i ustalenia, czy stan zdrowia kobiet pozwala im na przebywanie w areszcie i nie zagraża ich zdrowiu i życiu. Ponieważ idzie tu o spłot chorób, więc potrzebna jest właśnie komisja lekarska, złożona ze specjalistów. Zarzuty są poważne i znajdują potwierdzenie w czasie rozprawy, więc nie można decydować pochopnie w kwestii zwolnienia oskarżonych z aresztu, aczkolwiek trudno ukryć, iż mimo bezprzykładnego cynizmu procedury, jaki uprawiali oskarżone, ogarnia mnie coś na kształt współczucia wobec tych dwu aresztowanych, niemiłych i schorowanych kobiet.

W lipcu jest okres urlopów, przeto sąd odracza rozprawę do 7 sierpnia. Księgową i kasjerkę powędrują z powrotem do aresztu. W trakcie śledztwa obie przyznały się do winy, kwestionując jedynie wysokość zagarniętych kwot. Pani dyrektor nie przyznała się do winy mimo ekspertyz grafologicznych, przemawiających na jej niekorzyść.

pom

Sennik egipski

- 40 -

T

Tabaka — zle przyzwyczajenia trapić cię będą
Tablica, tabliczka szkolna — robić dług
Taezka — ciężka praca
Talerze — będą goście
Talerze rozbić — niepowodzenie
Talizman posiadać — wiarą zdobędziesz szczęście
Taniec — życie bez troski, zadowolenie
Taniec z muzyką — smutek, niezadowolenie
Tarcza — unikniesz niebezpieczeństwa
Targ — wydatki
Tariak — hulaśliwe, nieprzyjemne towarzystwo
Tatuowanym być — staniesz się znanym z czegoś
Tchórzostwo — czekają cię różne doświadczenia
Teatr — połączenie wiedzy z przyjemnością
Tęcza — dobry zwrot w interesach
Tęsknić — wierna miłość, przywiązanie
Teksa skórzana — czeka cię wiele spraw
Telefon — irytacja
Telegram — niespodziewana wiadomość
Temblak nosić — potrzebna ci będzie pomoc
Tenis — nieuchwytny interesy
Termometr — niestałe i zle usposobienie
Teściowa — dobre rady, których nie posłuchasz
Testament — nieuregulowanie swoich spraw
Tiul — tajemnicza miłość
Tlum — kłótnia, nieporozumienia
Tłumok nieść — niepotrzebna praca
Tłustym być — dobrobyt
Tluszczyk — choroba
Toaletta — będziesz mile widziany w towarzystwie
Tokarnia — łatwo coś wykonasz
Tonąć — zle nalogi będą cię męczyć
Tonącego widzieć — ktoś od ciebie potrzebuje pomocy
Topileca widzieć — zysk
Topola — wyniosłość wobec otoczenia
Topór widzieć — nieszczęście
Toporem pracować — powodzenie
Tor kolejowy — zmiana, podróż
Tor wyścigowy — ktoś cię ubiegnie w czymś
Torbę nosić — ostrożność w handlu
Torbę zgubić — niepowodzenie
Torf — smutek
Torf — radość w rodzinie, przyjęcie, goście
Towarzystwo — osamotnienie
Trąbę słyszeć — radość
Tragarz — otrzymasz pomoc w potrzebie
Tramwaj — szybkie zakończenie spraw
Tran pić — poprawa losu
Transport — troski, niezadowolenie
Trałwa na wodzie — niepomyślność
Trawa świeża — dobre widoki w interesach
Trawa zniszczona — wszystkie zamiary na nic
Trawę kosić — zarobek
Trepki, trepki nosić, kupować — ubóstwo
Trociny — bezużyteczny wysiłek
Trucizna — spotkasz ludzi niewdzięcznych
Truciznę zażyć — niedomagania
Trumna — przeciwności losu, pech
Trup — smutek
Truskawkę — zdrowie, dobre samopoczucie
Trwonąć pieniądze — odczujesz ich brak
Trwoga — jakiegoś silnego przeżycia
Trybuna — niezasłużony honor

Dalszy ciąg nastąpi

PAMIĘTNIK GLOBTROTERA (13)

ce u niego, to zawsze i w każdej chwili mogę to uczynić.

Sumy, jakie mi oferował Nelson, były bezczyste. Po kilku dniach postanowiłem jechać.

Pod koniec sierpnia 1953 roku, po którym z kolei kurnie, zostałem z towarem (schowanym w kole zapasowym mego wozu) zatrzymany przez policję, a następnie aresztowany i osadzony w areszcie w Tucson w Arizonie.

A towar przewoziłem z Meksyku. Miałem wyrobioną kartę turystyczną na nazwisko John Kay. Co to był za towar i jak on wyglądał, tego nie wiedziałem. Miejsce, gdzie umieszczano ten towar, były za każdym razem inne. Pieniądzy jeszcze żadnych nie otrzymałem, wszystko musiałem regulować z własnych pieniędzy Nelsona też nie widziałem.

Przez kilka miesięcy ciągnęło się śledztwo, aż wreszcie stanąłem przed sądem. Zostałem skazany na karę dwóch lat więzienia.

Prawie wszystkie pieniądze straciłem, lecz liczyłem się z tym, że wcześniej czy później należność zostanie mi wypłacona a przecież był mi winni 12 tysięcy dolarów. Stanowiło to niebagatelny sumkę za którą można było śmiało powiedzieć że dwa lata.

Pod przewiezieniem mnie z ASP (Arizona State Prison) na Ellex Island cały czas oczekiwałem na wiadomości od Nelsona myślałem, że spróbuję mnie w jakieś sposób stad wyciągnąć.

Zewnędnego dnia w lipcu 1954 r. zjawił się u mnie officer imigracyjny, oświadczył że zostanie odesłany samolotem do Polski.

Wróciłem pod eskortą, błędny jak mysz kościelna. W Kopenhagrze miałem układać, lecz szczęście zawiodło.

Po wylądowaniu na Okęciu zabrano mnie do więzienia śledczego. Później zostałem zwolniony i skierowano mnie do pracy na budowę w Zagórzu koło Dąbrowy Górniczej. Urwałem się stamtąd i pojechałem do Oświęcimia, do rodziny mego znajomego, którego poznałem w czasie pobytu w więzieniu śledczym.

W Oświęcimiu zostałem żywcem przyjęty przez rodziców oraz siostrę poznanego. Zaproponowano mi, abym pozostał u nich, tłumacząc, że jakoś się życie ułoży. Ponieważ rodzice nie mieli zbyt wiele miejsca, więc siostra z mężem zgodziła się przyjąć mnie do siebie.

Było to młode małżeństwo z jednym dzieckiem.

Zaraz na drugi dzień mego pobytu w tym domu, jak tylko rano jej mąż wyszedł do pracy, pani domu zaczęła mi się zwierzać na temat swego nieszczęśliwego małżeństwa. Opowiedziała mi, że jej mąż ma inną kobietę z którą krecał, a do domu przychodził ostygly i bardzo często pijany. Słuchałem tego, ale myśli moje uparcie krążyły wokół innej sprawy chciałem uciec z kraju. Na razie wstrzymywała mnie ziema, pragnąłem przeczekać do wiosny i wówczas wyruszyć w drogę. O moich zamiarach wiedzieli wszyscy w tym domu.

Któregoś dnia rano postanowiłem położyć moją gospodynię. Wszystko odbyło się tak, jak zaplanowałem. Młoda małżonka powiedziała mi, że wczoraj mąż ją uderzył w twarz podejrzewając ją o miłość ze mną. Kiedy to usłyszałem, postanowiłem natychmiast, posilim zimny, ruszyć ku granicy. Było mi już wszystko jedno; ona, wiedząc o moich

zamiarach, przyniosła mi zwój pieniędzy mówiąc: „Tutaj jest dziesięć tysięcy złotych, weź je, bo ci będą potrzebne, a ja po kilku dniach powiem mężowi, że zginęły. Podejrzanie padnie na ciebie, ale ty już w tym czasie będziesz daleko. Jak dostaniesz się na miejsce, to wówczas przysyłaj mi taka sumę z powrotem”.

Zgodziłem się na te propozycje. Z Oświęcimia pojechałem do Katowic. W Katowicach przemyciłem noc na dworzec i nad ranem udałem się do restauracji „Orbis”. Zamówiłem jakiegoś śniadanie oraz kieliszek słodkiej wódki. Po chwili weszła kobieta z młodą, około siedemnastu lat, chłopakiem i zajęli miejsce przy moim stoliku. Zdziwiło mnie to trochę że siada tutaj, kiedy jest tyle wolnych stolików. Kobieta liściła sobie około trzydziestu lat. Po chwili zjawił się kelner. Poprosiła to samo, co miałem ja, dla siebie i dla chłopca.

Kiedy zamierzałem odejść, kobieta przytrzymała mnie ręką mówiąc: „Może panu wywróży?” Szybko ze swojej dużej torby wyciągnęła stare postrzępione karty. Nie wyglądała na Cyganke, a ten chłopak tym bardziej ubrana była tak, jak inne kobiety Pomorza zaczęły się schodzić konsumenci, a ta wróżba krepowiła mnie. „Nie! Nie mam chęci na wróżby” — odczarłem. „Panie, ja z tego żyję, a przy mnie i braciśzek mój się potywi. Może pójdziemy na górę to pokole, gdzie ja panu naprawdę pokażę dobre wróżby” — nalegała. „Dobrze” — powiedziałem a ona wciągnęła rękę mówiąc: „Daj pan 30 złotych, bo trzeba cię poinformować za chwilę wcale nie poleca, a memu braciśkowi też daj pan parę złotych, niech sobie idzie na mia-

sto i coś kupi”. Wyciągnąłem 100 złotych i uregulowałem za wszystkich śniadanie. Chłopiec poszedł z nią do portiera, a następnie oddalił się do drzwi wyjściowych. W pokoju na górze moja przygodna dama zrzuciła z siebie płaszcz, teraz dopiero zauważyłem, że warto się pokusić. Zadzwońnię i poprosiłem o pół litra śliwówki oraz jakąś zakaszkę. Do południa zabawiłem się z „wróżką”.

Jeszcze tego samego dnia wyjechałem do Krakowa i stąd autobusem udałem się w kierunku granicy.

Schwytano mnie już na słowackiej stronie i przekazano władzom polskim. Wyrokiem sądu skazany zostałem na karę łączną, tzn. za kradzież dziesięciu tysięcy w Oświęcimiu oraz za nielegalne przekroczenie granicy, na półtora roku więzienia.

Po zwolnieniu udałem się do Opola, a następnie w okolice Raławic Śląskich, gdzie po raz drugi przekroczyłem granicę. Po raz drugi szczęście mi nie dopisało: zostałem zatrzymany i deportowany do Polski. Tym razem skazano mnie na dwa lata i sześć miesięcy więzienia. Nie mogłem podarować sobie takiej porażki i po odbyciu drugiej kary ruszyłem tym razem do granicy między Polską a NRD. Przechodziłem ją 1 kwietnia 1958 roku koło Kolbaskowa w woj. szczecińskim. W nocy tego samego dnia zostałem zatrzymany przez straż graniczną NRD i znów przekazany stronie polskiej.

Za przekroczenie po raz trzeci granicy Sud Powiatowy w Szczecinie wymierzył mi karę trzech lat więzienia. W kwietniu 1962 roku wyszedłem z więzienia. Tym razem postanowiłem zamiechać dalszych ucieczek.

KONIEC

Kultura 1975

FILM

W ostatniej dekadzie sierpnia Toruń stanie się światowym centrum filmu amatorskiego. Po raz pierwszy w Polsce odbędzie się bowiem (właśnie w Toruniu) kongres UNICA-75 — Międzynarodowej Federacji Filmu Amatorskiego. Przewiduje się udział około 800 filmowców-amatorów z 30 krajów.

W poprzednim festiwalu w Moskwie uczestniczyły kinematografie 86 państw, w obecnym już 99. Ponadto festiwal odbywa się nie tylko w Moskwie, ale i w Erewaniu, Nowosybirsku, Alma Acie, Kijowie i Sochi.

Tegoroczny Oskara za ilustrację muzyczną do „Ojca chrzestnego nr 2” Franka Coppola otrzymał kompozytor włoski Nino Rota, który jest w tej dziedzinie fachowcem: „muzykalniak” już kilkadziesiąt filmów, w tym wszystkie Felliniego. Nie pojechał do Hollywoodu, aby odebrać statuetkę i pieniądze, gdyż twierdzi, że nie interesuje go komercyjna strona jego twórczości. To nie jest chyba chwyt propagandowy, gdyż Rota od lat prowadzi w Bari prywatne konserwatorium, do

którego dokłada poważne sumy ze swoich honorariów filmowych.

MUZYKA

Dzięki trzem Mikołajom — z Radomia, z Krakowa i z Chrzanowa — polska muzyka w XV i XVI w. zajmowała pierwsze miejsce w Europie. Ostatnio do tej trójki doszedł czwarty kompozytor, dotychczas nie znany — Piotr z Grudziądza. Otóż czechosłowacki muzykolog dr Jaromir Czerny z Uniwersytetu Karola w Pradze od kilku lat zajmował się utworami tajemniczego kompozytora z połowy XV w., które odnajdował w archiwach czeskich, i polskich. Ostatnio udało mu się bezspornie zidentyfikować kompozytora, którego muzyka zawiera m. in. rytmy mazurów o sto lat starsze od znanych dotychczas.

W wiedeńskiej Volksoper odbyła się niezwykła prapremiera: opery „Chory z urojenia” według sztuki Mollera. Muzykę skomponował Frantz Wolpert.

Popularna orkiestra radiowa Henryka Debicha obchodziła niedawno 30-lecie istnienia i 25-lecie pracy pod batutą o-

becznego dyrygenta. W tym czasie nagrala ona na taśmy magnetofonowe około 10 tys. utworów o charakterze uniwersalnym. Orkiestra liczy 60 osób.

Teatr im. Kirowa w Leningradzie wystawił prapremię opery „Piotr Pierwszy” kompozytora Andrzeja Pietrowa. Przypominał on m. in. stare pieśni żołnierskie i kantaty komponowane na uroczystości dworskie. Libreto i reżyseria jest dziełem dwójki choreografów: Natalii Kastakiny i Włodzimierza Wasiliewa.

PLASTYCY

Dość często słyszy się narzekania na poziom naszej twórczości humorystycznej. Ale jak zwykle: sami nie wiecie... Na konkurs grafiki humorystycznej w belgijskiej miejscowości wczasowej Knokke nadesłano dwa tysiące prac z 30 krajów. Trzy główne nagrody zdobyli Polacy: Janusz Majewski, Barbara Gawczik-Brzozowska i Lech Froncowski.

W Muzeum Sztuki w Bukareszcie czynna jest wystawa polskiego portretu od początku XVI wieku do dnia dzisiejszego. Pokazano 96 dzieł, wydrukowano też piękny stucznicy katalog. Wystawa powędruje następnie na „Dni Kultury Polskiej” w Hamburgu i Hanowerze.

Zamieszkały w Szwajcarii 89-letni malarz Oskar Kokoschka przeszedł pomyślnie operację katarakt i zabrał się już do malowania — na obrazie widnieją głowy mężczyzny i kobiety. Praca idzie dość wolno,

artyści zaś przyznał: „Ja jestem leniem, byłem nim przez całe życie i takim pozostanę. Ja przecież nie pracuję, a bawię się”.

POEZJA

Wiersze Nazima Hikmeta są u nas popularne. Ale mało kto pamięta, że ich tłumaczką jest Małgorzata Łabęcka-Koecherowa. Poza pięćdziesiątami utworami tego poety, przetłumaczyła ona także wiele nowel i kilka sztuk teatralnych współczesnych pisarzy tureckich. Właśnie przygotowuje tłumaczenia trzech innych poetów z tego egzotycznego kraju — Can Sever'a, Turgut Uyar'a i Oktay Rifat'a, a ukończyła przekład „Mitów tureckich”. Łabęcka-Koecherowa zanim została cenioną tłumaczką marzyła o karierze malarskiej, potem o matematyce, wreszcie pracowała w handlu zagranicznym i wtedy oświadczyła, że się z Wschodem.

Prawie pięćset stron liczy antologia liryki polskiej („Połonische Lyrik aus fuerst Jahrgang”), która ukazała się w NRD w opracowaniu Henryka Bereske i Heinricha Olschowskiego nakładem wydawnictwa Aufbau Verlag. Antologia obejmuje utwory 62 poetów, poczynając od Staffa, a kończąc na Stachurze i Barańczaku.

PROZA

W Wielkiej Brytanii ukazał się pierwszy tom opowiadań rosyjskiego pisarza Iwana Bunina pod tytułem „Dzientel-

men z San Francisco” — on jednego z utworów. Krytycy porównują Bunina z Czecznem jeżeli chodzi o prostotę a zarazem głębię opisywanych faktów, których interpretacja u obu autorów „stała się uogólnieniem o bogatym podtekście”.

Wydawnictwo Literackie w Krakowie wyda w tym roku kilkanaście tłumaczeń z literatury francuskiej, niektóre w wersjach dwujęzycznych. Po raz pierwszy ukazała się w naszym kraju pozycja: „Listy do Madeleine” Apollinaire'a, „Aleksander Wielki” Maurice'a Druona oraz kilka pozycji współczesnych, m. in. „Fabrykant obłoków” Henri'ego Escarpita.

Na szczęście pisarze, podobnie jak sportowcy, często nie dotrzymują obietnic, że „to już ostatni raz”. 70-letni G. Simonon przed dwoma laty uroczyście zapewniał, że ma dosyć pisanie i przeniósł się do nowego mieszkania, aby tylko odpoczywać. Okazało się, że obietnicy nie dotrzymał — właśnie ukazały się jego „Wspomnienia”, których rzeczywiste już nie pisał, a tylko dyktował je na magnetofon.

SERIALE

„Z kim mam się widzieć w teatrze: z desperatem Dowgirdem czy ze spokojnym, lekko ironicznym lekarzem — przyjacielem domu „Czterdziestolatka” — martwi się Leonard Pietraszek w wywiadzie dla „Trybuny Ludu” (nr 158).

ekran i widz

Japończycy atakują...

KOMU muly sport samochodowy, niech koniecznie wybierze się do kina na „Safari 3000”. Szerokoekranowy, kolorowy film wyprodukowany przez Japończyków, kręcony głównie na karkołomnych górskich serpentynach pod Monte Carlo oraz na bezdrożach Kenii, nie tylko atakuje widza potężnym ładunkiem emocji, ale przede wszystkim daje pojęcie czym są wielkie, międzynarodowe rajdy i jak rzutują one na życie kierowców-gwiazdów. Dodatkowym walorem „Safari 3000”

są wspaniałe zdjęcia krajoobrazowe z Europy, Japonii i Afryki, a wszystko to razem równowazy w jakimś stopniu kruchość i ubóstwo wątku fabularnego sprządzającego się do schematu: ona go kocha i cierpi, bo on nie ma dla niej nigdy czasu pochłonięty wyścigami, rajdami i podrózkami po całym świecie. No, ale prawdę mówiąc, w tego rodzaju filmach wątek fabularny jest tylko pretekstem do powiązania ze sobą kolejnych, motorowo-akrobatycznych sekwencji i na filmy typu „Safari 3000” idzie się po to, żeby zobaczyć jak jakiś „datsun” albo „porsche” pokonują szczególnie ostry wiraż, a nie w celu analizowania uczuć uroczej modelki do przystojnego kierowcy.

Tutaj liczy się tylko zawrotne tempo, dynamiczny montaż, maestria w prowadzeniu kamery oraz umiejętność najbardziej celowego wykorzystania wszystkich sztuczek, w które tak obfituje współczesna technika zdjęciowa. W tej dziedzinie reżyser filmu, Koreyoshi Kurahara i operator — Mitsui Kanau pokazali wielką, światową klasę. Chwilami zapomina się, że wszystko to dzieje się na ekranie i że siedzimy w stabilnym fotelu kinowym, a nie we wnętrzu rajdowej maszyny; nie sposób odróżnić gdzie przebiega granica pomiędzy „fabułą” a fragmentami autentycznych rajdów i wyścigów wmontowanymi do filmu.

Nie zresztą dziwnego: Koreyoshi Kurahara, reżyser w Polsce właściwie zupełnie nieznamy, liczący już prawie pięćdziesiąt lat, od dawna uchodzi w Japonii za specjalistę od filmów kryminalnych i przygodowych, i ma na swoim koncie ponad trzydzieści dzieł z tego gatunku. Tytuły świadczą same za siebie: „Trzeci zabójca”, „Dynamit”, „Zwrot ku plekowi”, „Kobiety z dna morską”, „Kocham i nienawidzę” itp.

Na to, żeby zdobyć sobie nazwisko w kraju, gdzie rocznie produkuje się ponad pięćset filmów fabularnych a większość z nich stanowią filmy komercyjne — trzeba nie lada umiejętności zawodowych i talentu. Jest zresztą Kurahara uważany w Japonii za reżysera o wciąż jeszcze nie wykorzystanych możliwościach. Wysoko zostały ocenione przez poważną krytykę jego prawdziwie ambitne filmy, takie jak np. „Czarne słońce”, „Plomien poświęcenia” czy wreszcie „Serce Hiroszimy”. Jedyny jak dotąd — oprócz „Safari 3000” — film Kurahary wyświetlany w Polsce.

Kreując w „Safari 3000” główną rolę Yuiro Ishihara, artysta średniego pokolenia, należy do najpopularniejszych japońskich aktorów, grał w 120 filmach. Światowa sława cieszy się inny aktor, Tutsuya Nakandji (oglądaliśmy go m. in. w „Harakiri”) oraz Toshiro Mifune, którego chyba

nie trzeba reklamować, a ozdobą ekranu jest tancerka Ruriko Asaoka. Z innych światowych sław występują w tym filmie jeszcze: Emanuele Riva, pamiętna z filmu „Hiroshima moja miłość” oraz Jean-Claude Drouot.

Przez pełne dwie i pół godziny filmu japońscy kierowcy z Godu (Yuiro Ishihara) na czele atakują i, oczywiście, zwyciężają całą czołwkę światową automobilistów-rajdowców. Ale oglądając film bezustannie odnosi się wrażenie, że tak naprawdę, to głównym bohaterem ma być tutaj firma „Datsun”, której nazwa pojawia się niby mimochodem, ale jednak nieustannie na ekranie, i której to właśnie wozy — jak by należało słusznie wnioskować — biją wszelkie światowe rekordy szybkości, sprawności i wytrzymałości.

Nie przeto dziwnego, że Wasz sprawozdawca wyszedł z kina nie tylko z niewzruszoną decyzją zostania kierowcą rajdowym i wygrania Rajdu Safari ale również z postanowieniem że dokona tego za kierownicą samochodu marki „datsun”.

Co jest tym bardziej prawdopodobne, że jedynym w Lublinie „datsuna” na najbliższy szaład piszącego te słowa, aktor Teatru im. Osterwy, Karol Siedlecki.

(md)

KLUB STAREJ FOTOGRAFII



Zdjęcie przedstawia wnętrze zakładu bednarskiego przy ul. Łęczyńskiej w Lublinie.
Data wykonania: 1912 rok.
Autor: ?
Nadawca: Stanisława Pliszczyńska, Lublin, ul. Sienka 27a.

noty i notki

Piękny basen pływacki WSK w Świdniku cieszy się olbrzymim powodzeniem. Pusty stoi tylko parking przy tylnym wejściu koło budynku pływackiego. Nie wpuszcza się tam nikogo, bo a nuż — jak mówi kasjerka — przyjedzie jakiś trener lub zawodnik? Tymczasem przez pięć kolejnych dni przyjechało tylko dwóch i to w dodatku na motocyklach.

W przyjemnej, ale przecież dosyć skromnej restauracji w centrum Deblina można kupić tabliczkę czekolady z orzechami za 62 złote z groszami. Taka sama czekolada w pobliskim sklepie ze słodyczami kosztuje 32 złote. Czy nie przesolono tu z marzą na ten słodki towar?

Czytując ogłoszenia matrymonialne w „Kurierze Lubelskim” O to w ciągu ostatniego miesiąca dwóch panów pozostaje panią do lat 35. Ciekaw jestem, w jakim wieku panią staje się kobieta. Ktoś inny reklamuje się „przebiegłym zawodnikiem”. Każda rozwódka twierdzi, że jest rozwódka, nie z własnej winy” podobnie twierdzą rozwódnicy. Mnie! Wiecej połowa posiada własne mieszkanie, pozostali szukają go w ewentualnych kandydatów. Nikt nie ma żadnych nalogów ani długów. Może to i prawda?

W Półdzim Klubie Dziennikarza tamtejsi plastycy wystawili na aukcję oko-

ło stu swoich arcydzieł, wyznaczając jako cenę wywoławczą 300 zł za grafikę i 600 zł za obraz olejny. Po zarządzie licytacji zwyciężyły „Konie” Tadeusza Łokietka, za które zapłacono 10 100 zł. O osiemset długości — przepraszam, złotówek — wyprzedzała „Akt” Wiesława Garbalińskiego, co chyba jest dowodem upodobań typu retro.

Od jakiej sumy (w złotych) zaczyna się w naszym kraju tzw. wielki biznes (prywatny)? „Prawo i życie” (nr 20) ma w tej sprawie raczej nie spotykany pogląd. Opisując bandę młodych złodziei samochodowych stwierdza, że ukradli kilkadziesiąt fiatów 125p (także w Lublinie) wartości 43 miliona złotych ponadto 200 dolarów USA, 200 marek RFN, pół miliona w gotówce, ileś tam jeszcze dolarów i biżuterię, skrzynki wodki, po dwa telewizory i magnetofony itd. Janusz Kotodziejski, autor tego artykułu dwudziestolatkiem szefa gangu uparcie nazywa „dzieckiem” i stwierdza, że wielkiego biznesu na tych fiatach to „dziecko” nie zrobiło. Hm...

JOD

Osobliwym słownictwem posługuje się autor opowiadania „Decyzje” („Miesięcznik Literacki”, czerwiec 1973 r.). Żołnierska blaski z nazwiskiem służąca do identyfikacji aluzującego nazwywa ekwiwalentem tak samo dźwiękami po zabitym partyzancie. Osobliwe to tym bardziej, że opowiadanie chce uchodzić za reportaż i jest w tej konwencji napisane. Ale całkowitym curiosum jest, kiedy określenie „kobieta z czarną głową” używane przez sąsiadów Anny W. nazywa eufemizmem wobec tej nazwiska Eufemizm to nazwa zastępcza zwyczajnie myląca i krzywdząca. Jak wobec tego brzmi właściwe nazwisko Anny?

Z.M.

Odpowiedzi redakcji

I. C. Lublin. Muszę przyznać, że ujęła mnie Pani swą wiarą w siebie. Wiem, że nie jest to zachowanie ani bezkarytetycznym, dlatego przyjmuję z uczuciem aprobaty Rzeczywiście nie można pisać inaczej niż w przekonaniu, że się napisze rewelacje. Jest to założenie wyłączenie teoretyczne i najczęściej po napisaniu autor przeżywa głębokie rozczarowanie, ale kolejność jest nie do odwrócenia. Nie można przystępować do pisania z przeświadczeniem, że nie ma się nie do powiedzenia, a następnie stwierdzić sukces. A wiersze? Cóż. W dalszym ciągu będą szczytami i proszę mi to z kolei przyjąć na dobro. Nie wyróżniała się „takie jak inne” Zadanych błędów, ale też i niczego, co by kwalifikowało do specjalnej uwagi. Czyli czekać cierpliwie i pracować dalej.

S. S. Końskowola. Nie powiem, że rzeczy są z gruntu nieudane ale myślę, że Pan ma jedną zasadniczą wadę: Pan nie boi się słowa. Wiem, że powiedziałem dość zagadkowo. Chodzi mi o to, że w procesie wyrażania zawsze powinna istnieć obawa, czy słowo w pierwszym momencie przyjęte z aplauzem już w drugim nie okaże się banalne. Mam wrażenie, że teo „drugiego momentu” w ogóle Pan nie przeżywa i przez to do wiersza wchodzi pierwszy projekt, często brulion realizacji pisarskiej. Czy nie mam trochę racji? Niech Pan nad tym pomyśli. Warto, bo widzę w tym dobre zadatki. Tylko więcej dyscypliny.

J. G. Mera. Nie wystarczy obraz. Musi być jeszcze z tego obrazu wniosek. Czy wrażliwość się dość łatwo? Na moje chłodne przewidywanie tych wierszy może się Pan oburzyć jak to przecież to inelastyczne lasy wchodzące w przedzie dła, ręce glasszące błochliwe zwierze czasu, wolta roślinie namieci olatający owół wspomnienia... Tak ale to wszystko się nie komentuje. Nie komentuje się jakaś nadrzędna zasada twórcza, która z obrazu emanuje jako wniosek dla odbiorcy. To są podległe maźnięcia pedzła. Niech będzie — ciekawe, niech będzie — kolorystycznie udane. Ale w sumie nie odbieram wymowy całości i to mi przeszkadza w uznaniu tych zremontowanych efektów za wiersze, za utwór, w którym poszczególne elementy wzajemnie się wspomagały, ponieważ są ujęte za pomocą jednej dany. Może by trochę mniej tego bogactwa?

A. M. Kras-ostaw. Uważa się Pan na swoje „wielkie” osiemnastolatki. Muszę Pana zasłonić, że wciąż one nie będą trwały, tylko wtedy będzie się Pan uskarżał, że ich już nie ma. A jeśli teraz są, to bardzo dobrze, bo jest z czego wywodzić. Proszę sobie wyobrazić, że pisze Pan tak jak teraz, małe, estetyczne. Czy to nie znaczy, że dawać rozwoju raczej zamkniętą? Korzystałby więc z tego co wywodził, nie odwrócił. A unarzynony debiut w tym roku? Nie wzbliżana, że będzie. Nie można powiedzieć, że w niektórych utworach nie czuje się ma. Jest. Jest. Tylko trochę cierpliwie.

A. G. Radom. Nie chciałbym mówić o tym, jakie jest to opowiadanie w swojej warstwie problemowej. Pod tym względem każdy utwór może być jednakowo banalny i jednakowo ciekawy. Że istnieje ktoś, komu się w życiu nie powiedziało i przez to uciekł od ludzi — nie odkrywa to i nie trąca, ale może być także w zależności od rodzaju i jakości środków artystycznych, które na to została użyta. A w tym właśnie sek, że te środki są całkiem klasyczne. Do niezachowanego projektu architektonicznego dodał Pan materiał z tej jakości. Przed wszystkim onisowane sceny trzeba unawodopodobnić, wnieść w realia życia tego najbardziej realnego, technicznego, wreszcie utwór jest realistyczny. Tymczasem czytamy i nie wierze. Nie widziałem takich scen, nie ma ich. Autor obawia się wywołania przez siebie przestępstwa. W ten sposób mamy do czynienia raczej z jakimś scenariuszem opowiadania, który dopiero trzeba wykonać ośmiem rzędami, zdarzeń, osób, faktów. Na razie jest naszkicowana ogólna idea, zamysł utworu. A faktura słowna? Bardzo nierówna. Wiele cóż z perspektiwą humanistyczną, choćby najsłabsze, choćby zamierzona, kiedy to uszukano, co jest rzeczą, kuleje i nie niesie artystycznej idei. Jest, styl, to trzeba miarować. Przede wszystkim z lektury i to nie tylko współczesnej prozy.

J. S. Leżachów. Wiele niech będzie. Przyjmuję na siebie niechęć wobec tych paru redaktorów, które nie odnowiły. A nie odnowiły, bo nie chciały stracić /zwycięstwa/. Utwory są słabe. Może kiedyś będą inne, ale teraz, kiedy ich autor ma 16 lat... Z napisaniem radzę lewocze się zatrzymać. Nawet jeśli ma on z tego wyniknąć, należy zacząć od czytania.

„Pesymista” z Ilanowskiego. Niestety, proszę Pana, są to komuny. Czy naprawdę trzeba napisać wiersz, by kogś przekonać o tym, że lata płyną, że matka się kocha, że dom rodzinny zostaje w pamięci? Proszę zauważyć, że omyślenie stwierdzenia w treści swoich utworów Pan nie wychodzi. Nie znaczy, że dobry wiersz napisze się wtedy, kiedy się noweli. Ze czas stół matki nie należy kochać, a o dzieciństwie tylko wspominać. Ale do wiedzy przez czytelnika już posiadanej autor musi dodać własne spostrzeżenia. Własne to znaczy takie, o których przypuszcza, że nie posiada ich czytelnik, a nie takie, których oczywistość jest beznosna. Przekazam ze ciekawości, ale chyba nie chodzi Panu o układanie wiersza.

J. S. Brwinów — Pszczelina. Wielkie materiały pomieszczenie. Obok elementów świadczących o rozumieniu poezji, cała masa stereotypów. Proszę popatrzeć na wiersz „Namiętność”. Pozyby się takich „odkryć”, to pierwszy warunek uprawiania poezji.

Szyfrogram literacki (nr 15)

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przzenieść do diagramu na miejscu liczb odpowiadających im literom i odczytać rozwiązanie — fragment wiersza znanego polskiego poety, którego imię utworzą pierwsze litery początkowych 5 wyrazów pomocniczych. Połączycie czarne kratki w diagramie oznaczają koniec słowa, a podwojne — wiersza. Wyrazy pomocnicze:

1. 23 13 28 28 102 98 — kieruje grą w kasynie.
- 26 64 29 6 98 — góra bogów.
- 18 30 2 95 15 38 23 — zanik bytu w buddyzmie.
- 47 46 17 51 77 61 32 — białost włosów.
- 48 84 97 83 52 100 38 — płynię nia krew z serca.
- 2 33 67 58 21 18 — stolica afrykańskiego państwa arabskiego.
- 27 34 34 60 87 51 65 — toruńska gazeta.
- 73 35 9 41 63 — ozdobna dynia.
- 19 5 80 11 — miasto ze znanego westeru.
- 62 42 25 64 75 22 — jest w okolicach Bogdanki.
- 53 78 96 74 — ważna praca polewa.
- 4 79 37 90 31 81 — imię Własnolwieckiego i „Ogniem i mieczem”.
- 8 72 12 34 90 — chce być mądrzejsze od kury.
- 14 7 28 58 94 — awantura z rękocyznami.
- 44 185 70 82 90 71 — Imię wielu królów Francji.
- 55 69 103 57 — miejsce formowania II Armii Wojska Polskiego.
- 80 101 50 43 49 — przepływa przez Garwolin.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13		
	14	15	16	17	18	19		20	21	22	23	24	25	
26	27	28	29		30	31	32	33	34	35		36		
37	38	39	40		41	42	43	44	45		46	47	48	
49	50	51			52	53	54	55	56	57		58	59	
59	60	61	62	63	64	65	66		67	68	69	70	71	
72		73	74	75	76		77	78	79	80	81		82	
83	84	85	86			87	88	89	90	91	92		93	94
95	96	97		98	99		100	101	102	103	104	105		

76 86 16 46 — drugi okres mezozoiku.
80 24 40 104 92 — czarne ptaki.
Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. pocz. 231, 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.
Rozwiązaniem szyfrogramu z nr 13 był fragment opowiadania Władysława Reymonta pt. „Tomek Baran”.
„Dostałem dymnisię, wielmożny naczelniku, wygnali mnie. Piętnaście lat

szłułem i zostałem bez służby... do roboty nie chcą mnie wziąć... pięciorgo sierot zostało bez chleba”.

Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu nr 13 cztery bony książkowe po 40 zł każdy, wylosowali: Stanisława Gak, 96-221 Spala k. Tomaszowa Maz.; Bolesław Sasadeusz, 22-606 Tomaszów Lub., ul. 1 Maja 91; Waldemar Piesniak, 20-078 Lublin, Krakowskie Przedmieście 53-77; Paweł Ziolkowski, 01-242 Warszawa, Al. Rewolucji Październikowej 80 m. 13.



KANADYJSKIE ZWYCIĘSTWO

W czwartku 1 lipca piłkarska reprezentacja Polski poleciała za ocean, gdzie rozegrała kilka spotkań ze słabymi drużynami USA, także z reprezentacją, wygrywając wszystkie mecze. W związku z tym redakcja sportowa naszej telewizji zaczęła przekonywać publiczność, że to oznacza dużą formę polskiego zespołu. Takie komentarze były jeszcze do zniechęca, ale kiedy redaktor Krajewski patnął po rozgromieniu reprezentacji Kanady w stosunku 8:1, że to sukces, nie wytrzymałem. Przecież Kanada, kraj skądinąd sympatyczny, pochnący żynioł, nigdy nie liczyła się na boiskach piłkarskich! Wiele po co stwarzanie takich natychmiast mitów? Aby polepszyć nasze narodowe samopoczucie? Zaczynam podejrzewać, że do redakcji sportowej telewizji wśliznął się węzł morski.

Andrzej Kuśnierz
Lubartów

MUZEUM PO REFORMIE

Mamy nowe muzeum okręgowe, a tym samym nowe muzeum okręgowe. Niektóre z nich okazują dość osobliwe apetyty, a miarowicie próbują całkowicie podporządkować sobie mniejsze placówki, zwane dotąd regionalnymi. Ma to być zależność całkowita, a więc także finansowa, czego do niedawna nie było. Muzeum Okręgowe w Lublinie w układzie starego województwa sprawowało nad placówkami terenowymi tylko opiekę merytoryczną, zaś sprawy finansowe, organizacyjne, kadrowe i lokalowe leżały w gestii władz lokalnych. Taki system dawał muzeum regionalnym poczucie niezależności,

pracownicy i władze traktowali te instytucje jako własne, co miało wpływ na wyznaczenie lokalnej inicjatywy. Podejrzewam, że aktualne pomysły przekreślą ten ważny moment natury psychologicznej i społecznej. Owszem, nie zawsze władze terenowe dbały odpowiedzialnie o muzea, o ile jednak wiem, w ostatnim czasie sytuacja zmieniła się na lepsze. Muzeum w Krasnymstawie, które nie posiadało czasami opatu na rękę i nie mogło doczekać się instalacji centralnego ogrzewania, przejmując właśnie obszerne skrzydło budynku, którego częścią znajdowało. Zastanówmy się zatem, czy nie pozostać placówkom regionalnym dotychczasowej autonomii. Aby Polska była rzeczywiście rozmaita, że posłuży się sformułowaniem Kazimierza Koźmiewskiego z „Polityki”.

Józef Abramowicz
Zamość

TARGI STAROCI

Lubelskie targi staroci mają różną opinię. Jedni twierdzą, że to jest bardzo czysta impreza, której założenia organizacyjne wykluczają machlojki, inni są przeciwnego zdania. Zaalazło to zresztą wyraz na łamach „Kamieny”. Ze swej strony, nie opowiadając się zdecydowanie za zwolennikami czy przeciwnikami targów, chciałbym zaproponować powołanie przy imprezie kompetentnego biura oceny i wyceny przedmiotów, które są prezentowane w celach handlowych. Pozwoliłoby to na uniknięcie wielu nieporozumień, ograniczyłoby pole działania przeciwnych cwaniaków. O ile wiem biuro takie działa przy krakowskich targach staroci. Z powodzeniem.

Marian Kalinowski
Lublin

CHWAŁE „ŚWITEZIANKĘ”

Tak często zajmujecie się sprawami lubelskiej gastronomii, wypuszczając się czasami w inne rejony kraju, gdzie ponoć lepiej, że mam wrażenie obcowania z piśmiem jakiejś organizacji antygastronomicznej. Dlatego takiej, ponieważ często i słusznie krytykujecie lubelski stan posiadania. Więć na za-

szędzie odstępstwa od reguły chciałbym wskazać na niewielki bar „Świtezianka” w LSM. Jest tam czysto, w kuchni przygotowują niecie potrawy — choć, podkreślam, jest to tylko bar samoobsługowy — które serwowane są błyskawicznie. Taki poziom usług utrzymuje się w „Świteziance” od dawna, więc aż kórki zapytań, dlaczego? Po prostu dlatego że bar jest kierowany przez osobę odpowiedzialną, energiczną i znającą swój fach. O! i cała tajemnica. Dodać wypada, że zakład prowadzony jest przez LSS.

Janina Król
Lublin

KSIĄZKI NADESŁANE

Zbigniew Zakiewicz — Biały karzeł, powieść psychonalistyczna, wyd. II, stron 240, cena 22 zł; Jerzy Putrament — Pół wieku, wyd. II, stron 321, cena 32 zł; Henryk Mann — Poddany, tłumaczyli: Maria Wolczcka i Janina Marecka, wyd. II, stron 468, cena 40 zł; Mircea Micu — Zawziętość, przełożył Stanisław Bik, wydanie I, stron 175, cena 15 zł; Denne Bart Pettelere — Sprawa honoru, tłumaczyła Anna Przedpelska-Trzeciakovska, 1975 r., wydanie I, stron 267, cena 25 zł; Jerzy Górczański — Malpi zamek, debiut, 1975 r., wydanie I, stron 155, cena 14 zł; Zbigniew Zakiewicz — Dolina Hortensji, 1975 r., wydanie I, stron 142, cena 13 zł; Janusz Węgiełek — Opowiadania awanturnicze, 1975 r., wydanie I, stron 240, cena 19 zł; Bohusław Brezovsky — Czysta dusza, autotypret Teosla Andersa, powieść ironiczna, przełożył Edward Madany, 1975 r., wydanie I, stron 275, cena 20 zł; Kazimierz Brandys — Mala księga, 1975 r., wydanie II, stron 176, cena 26 zł; Edward Redliński — Awans, wydanie II (zmienione), stron 148, cena 15 zł; Stefan Zeromski — Ludzie bezdomni, wydano w Bibliotece Lektor Szkolnych, wydanie XXII, 1975 r., stron 386, cena 20 zł; — Róża, dramat niesceniczny, z opracowaniem tekstu Stanisława Pigoń, stron 242, cena 24 zł; — Sulkowski, Turon (dramat). Opracowanie tekstu Stanisław Pigoń, stron 363, cena 32 zł.

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Bęczczy-Rudnicka, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunta Mańkowska, Zygmunta Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski, Redaktor techniczny Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Cena prenumeraty krajowej rocznie 78 zł, półrocznie 39 zł, kwartalnie 19.50 zł. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 18 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę na kraj dla czytelników indywidualnych przysyła urząd pocztowy oraz listonosze. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów delegatur RSW „Prasa — Książka — Ruch”. Pozostałe mające siedzibę na wal lub w innych miejscowościach, w których nie ma oddziałów ani delegatur zamawiają prenumeratę za pośrednictwem urzędów pocztowych.

Prenumeratę na zagranicę przyjmuje: RSW „Prasa — Książka — Ruch” — Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, Wronia 23, 00-340 Warszawa, konto PKO 1-6-100924. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14-16.

Wydawca: RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne Im. PKWN, Unicka 4. Zam. 1705, 10.VII.1975 r. K-8. Nr indeksu: 28492/2825

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat, sekretarz redakcji i naczelny redaktor 255-93, dział literacki i publicystyki 275-35.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231 (uwaga nowy numer!); polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

W rodzinnym gronie

— Dzieci, wyjrzyjcie przez okno, tatuś powinien już wracać. Zawsze jest taki punktualny...

Tym razem Harry spóźnił się jednak piętnaście minut. Bliźniaczki, Doris i Diana, wybiegły przed bramę. Wysiadł z samochodu i czule poglaskał jasne loki.

— Dużo miałeś dzisiaj pracy? — szeptała Diana.

— Bardzo dużo. Więcej niż zwykle.

— Jak ci poszło, tatuś? — pytała Doris, ciągnąc go za rękę.

— Prawie bez pudła. — Objął serdecznie Doris za szyję. — Co robi mamusia?

— Grzeje kartofelki, bo trochę wystygły. Susan pokazała się w ogródku.

— Jesteś nareszcie, kochanie. Tak się martwiłam o ciebie.

— Miałem ponadplanową robotę. Prędzej spłacę raty za samochód.

— Ale nie przemęczaj się tak, mój drogi Harry. Ostatnio schudłeś nieco. Umyj teraz szybko ręce, przygotowałam bardzo smaczny obiad. Kura jest naprawdę znakomita!

— A kto ją zarządził?

— John był taki uprzejmy. Bardzo go o to prosiłam, powiedziałam, że ty nie znosisz widoku krwi. Nie mogą sobie darować, że przed rokiem niemal zmusiałam cię do zabicia królika.

— To było czternaście miesięcy temu. Do dzisiaj ten dzień pamiętam i chyba nie zapomnę go do końca życia. Królik patrzył na mnie takim błagalnym wzrokiem!

— Nie myśl już o tym, kochanie.

— Nie mogę. Ale ty, najdroższa, niewiele masz ze mnie pożytku. Co to za mąż, który nie potrafi kurze lebką odrąbać? — Objął ją ramieniem i pocałował w usta.

— Taka jestem z tobą szczęśliwa! — wyszeptała. Chwyliła go za rękę i czule poglaskała. — Boże,

Jak ty ciężko pracujesz! Już ci się odciski porobiły na dłoni.

— Przejdź mi. Przez noc ręka odpocznie.

Do pokoju wpadł chrząszcz. Susan wzięła paczkę na muchy.

— Kochana — oburzył się — stworzonko chce żyć. Nie wolno tak! — Porwał z łazienki ręcznik, owad uleciał przez okno.

— Jakiś ty dobry! — przytuliła policzek do jego twarzy. — Ty nawet muchy nie pozwolisz skrzywdzić!

Zapalił cygaro, zawsze lubił zapalić przed jedzeniem. Dziewczynki patrzyły w niego, jak w tęczę. W pewnej chwili Doris zapytała:

— Tatusiu, wspominałeś, że poszło ci dzisiaj prawie bez pudła. Czy wynikła jakaś niespodzianka?

— Drobną. Z tym nadprogramowym. Awaria techniczna.

— Wszędzie to brakoróbstwo — odezwała się Susan, wnosząc do pokoju wazę z zupą.

— Może było w tym trochę i mojej winy. Bardzo się do was spieszyłem.

— I co?

— Nic. Musiałem całą robotę zaczynać od nowa.

— Mój ty, biedaku... Całe szczęście, że ty tak bardzo kochasz swoją pracę, taki jesteś jej oddany.

— Kochałbym jeszcze bardziej, gdyby robiono lepsze sznurki. Urwie ci się taki jeden i kłopot...

— Tak, tak, dzieci — dorzuciła Susan — nietawo być katem.

MAJ

minuta myślenia

Powiekszyć różę

W „KULTURZE” z dnia 22 czerwca Anna Swirszczynska ogłosiła apel o powołanie organizacji pod nazwą „Błękitna róża”. Chodzi o organizację, której zadaniem byłoby zwalczanie alkoholizmu.

Brawo! Znalazł się ktoś, kto nie milczenie chce skwitować zdarzającą się u nas ekscyzyjną nadużycia alkoholu, a jeśli uczyniła to wybitna poetka, skuteczność wystąpienia wyjdzie się tym większa.

Tymczasem co? Jesteśmy nastawieni na coś w rodzaju psychicznej profilaktyki, ogólnohumanistyczne działania i moralną argumentację, a mamy do czynienia z nader praktycznymi i wąsko tematycznie określonymi działaniami proponowanej organizacji. Należałoby do niej: wykrywanie miejsc nielegalnej produkcji i sprzedaży wódki, nadzór nad zakładami gastronomicznymi, aby przestrzegały ustawy przeciwalkoholowej, kontrola gospod, mających opinie specjalnie pijackich, interwencje w razie naruszenia porządku i spokoju w miejscach publicznych, wizyty w izbach wytrzeźwień.

Ha. Tak bez żadnej próby perswazji, poruszenia sumienia, apelu do obywatelskiego poczucia i uczuć rodzinnych? Od razu do knalpy wrywać z rak kielszki? Istnieje MO, istnieje ORMO, jeśli propozycja wychodzi ze strony pisarki, należałoby się spodziewać innego sposobu podjęcia sprawy. Nie by rzecz utopić w

czym intelektualizmie, ale na odwrot: by nadać jej większą skuteczność. Propozycja Swirszczynskiej skuteczności nie rokuje, a jeśli, to w kierunku odwrotnym. Ostatecznie ta „Błękitna róża” nie miałaby uprawnień organu ścigania, bo takowy już istnieje, więc za jedyne narzędzie działania miałaby prywatną wścibskość i rejtanowski gest. Czy nie wywołałoby to scysji, a nawet — „na złość” — wzmoczonej aktywności w działaniu, które tak niezręcznymi metodami miałyby zostać zahamowane? Ponadto coż to za zapobieganie, jeśli jest to zapobieganie ex post. Niechby ta „Błękitna róża” rozwinęła inicjatywę w tych alkoholach nielegalnej produkcji i nielegalnej sprzedaży nie było, a nie — by nakryć już istniejące. Od nakrywania — powtórzmy — jest kto inny a jeśli mamy mu dać pomoc to oczekuje jej na całkiem innej płaszczyźnie. Wytworzyć niechęć do — i atmosferę społecznej dezaprobaty wobec — pijackiego bradzielenia — oto ta płaszczyzna dysponująca na dalszą metę środkami często skuteczniejszymi od doraźnej czynności represyjnej.

Piszę o tym ze szczególnym naciskiem, ponieważ sama potrzeba takiego działania, lepiej: oddziaływania wydaje się niedyskusyjna i za stratę uznalnym, gdyby proponowane środki odjęły mu powodzenie. Ale temat należałoby rozszerzyć i mówić w ogóle o objawach niekulturalnego, niespołecznego, a niekiedy wprost chamskiego zachowania się w miejscach publicznych. Czy przesiadkiem? Strumyczek chamstwa coraz bezceremonialniej przecieka w układ stosunków międzypodmiotowych i temu przeciwdziałajmy. Ostatecznie wolę być zepchnięty ze stopnia trolejbusu przez faceta pijanego który uczynił to mimochodem niż przez trzeźwego cwaniaka który w ten sposób zajął moje miejsce. Co nie oznacza, że daję placet alkoholizmowi. Ale czy wolno zachowywać się drastycznie tylko dlatego, że się jest trzeźwym, natomiast jeśli się jest nietrzeźwym, wystarczy zachwianie kroku, by podpaść pod pretekst restrykcji? Nie zawężajmy sprawy.

Popatrzymy na grupki miedzych ludzi, często spotykane na ulicach. Rozmawiają językiem składającym się z samych wianek, obscenów, ziorzeczeń i przekleństw — o niczym. Parę razy zdarzyło mi się przygodnie nadstawić ucha z socjologicznej

— jeśli tak można powiedzieć — ciekawości, zresztą natężenie głosu powodowało kolportaż tych lokucji na terenie publicznym. Po odczuciu „stylistycznej warstwy” nie udało mi się dotrzeć do „semantycznego jądra”. W ogóle nie wiadomo o co chodzi. Tu nie ma wymiany komunikatów. Jest zbiorowe tokowanie na nucie owej słownej ohydry — bezinteresowne i irracjonalne jak chuligaństwo. Ci młodzi spotykają się tylko po to, by mieć okazję wyekspozowania swoich osobowości ryszotkiem. Ryszotku na ulicy dziś nie ma. Tym więcej go w słownictwie.

A bezceremonialność w mijaniu się, w przechodzeniu przez jezdnię, w kolejkach? Coraz częściej do gry wchodzi faul jeszcze stosowany dyskretnie i chyttrze, jakby w charakterze ćwiczebny w stosunku do czasów, kiedy na świecie stanie się ciasniej i mniej będzie miejsca na pojedynczą istotę ludzką. Tu właśnie problem bo przecież jakiś wniosek z kassandrycznych, niemniej jednak uargumentowanych futurologii na temat przyszłości warunków bytowania człowieka na ziemi wśród ludzi wynika. Nasze normy postępowania zostały ustalone jeszcze w okresie złotego wieku ludzkości, to znaczy — z dzisiejszej perspektywy — w wieku samochodów, mniej pasażerów, mniej kolejek, mniej przechodniów, mniej okazji do konfliktowych sytuacji i właśnie, żeby zachować tamte zasady stosunków międzyludzkich, o nie naraząc ich na zatarcie w starciu z ostrymi warunkami współczesności, powinniśmy zharmonizować je z prawidłowościami sceny społecznej, w której przychodzi im się dziś realizować. Kolosalny w dzisiejszych czasach współczynnik ilościowego wzrostu i przyspieszenia podnosi wczesną niedogodność do rozmiarów udręki, a nawet wywołuje sytuacje krancowe. „Srok przelotności”, o którym mówi Alwin Toffler już się zaczyna. W wieku XXI jesteśmy jedną nogą.

Istnieje potrzeba społecznej obrony przeciw natłokowi stresów wywołanych przez ludzką skłonność. Czynimy to jednak w rozmiarze rzeczywistego niebezpieczeństwa, a nie oawtości słuchanych idei ze złotego wieku ludzkości.

Ijon



Rys. W. Fuglewicz

Rys. W. Fuglewicz

KOCI Ziemowit Samożyciek PAZUR

(12)

— Mam nadzieję, że nie zapomnisz o kartce z Bulgarij! — spytała Mirka, kiedy znów zostali sami.

— Oczywiście. Ale teraz przestań się już chmurzyć. Zaraz po przyjeździe zatelefonuję do ciebie...

Na dworcach warszawskim tłum kłębił się już od godziny. Dopiero na kilkanaście minut przed planowanym odjazdem pociąg leniwie wtoczył się na peron. Zdenertowski podróżni szturmem zaczęli zdobywać wagony. Michał spoglądał na te zapasy ze zdumieniem. Każdy musiał mieć przecież zarezerwowane miejsce, ów pospolecz, owo wzajemne utrudnianie sobie wejścia do wagonów i przedziałów mogło kontrolować jedynie o tych przywódcach rodaków, jeżdżących głównie na liniach krajowych i mających w tym względzie przykre doświadczenia.

Rychło okazało się, że i tu sprawa nie jest tak prosta.

— Pani zajęła moje miejsce! — piekliła się jakaś blondynka.

— Zajęła, zajęła! Naucz się czytać! — wołała puchna pani o stołeczkach wosach.

— Przecież dobrze czytam. Szóstka? Szóstka. Ja tu jadę.

Podobne głosy dochodziły z innych przedziałów. Kiedy Michał dotarł do swojego, też spojrzał, że jest on już zajęty.

Minęło dobrych kilka minut, zanim się wszystkie wyjaśniło. Po prostu całej wyprawce omijacowo sprzedano bilet do tego samego wagonu, w którym mieli jechać inoaktualni turyści. Na całe szczęście siedział wagon był wolny, trwały więc jeszcze targi, kto ma zostać, a kto ma się przenieść. Ostatecznie przeniosła się wycieczka, kładąc na czym świat stoi.

Michał z Haliną i Madzią ułokowali się w przedział, pociąg już ruszał, gdy wpadła spocona brunetka.

— O, Boże, Boże — wołała — myślałam, że już nie zdążę. Co się dzieje z tymi pociągami? Mój spóźnił się o ponad godzinę. I kto by odpowiadał? Kto by zwrócił pieniądze?

Po chwili jednak uspokoiła się, szczęśliwa, że wszystko skończyło się pomyślnie.

— Państwo też do Bulgarij? Bo ja — nie czekała na odpowiedź — pierwszy raz jadę. Pierwszy raz — za granicę. I jadę w ciemno, bo niczego sobie nie załatwiłam. Nie wiem, co to będzie, ale tak się cieszę. Przecież taki upał, że wprost nie można wytrzymać. W moich stronach już od miesiąca nie było kropli deszczu. Państwo pozwólcie, że się przedstawię. Barbara jestem.

— Przejechała styl młodzieżowy — pomyślał Michał. — A przecież trzydziestka już jej stuknęła...

Michał obudził się, wyjrzał przez okno: pociąg mijal Jarostaw.

— Opatrzam pobudkę — zawołał. — Zaraz dojeżdżamy do Przemysła.

Halina przetarła oczy i spojrzęła na dolne miejsce. Madzia spała w najlepsze, ale Barbary już nie było w przedziale.

— Nasza notwa znajoma nie lubi długo spać — zawołała.

— A co? Już jej nie ma?

— Nie, ułotniła się.

— Mam nadzieję, że bez naszych bagaży.

— Zbyttno by się nie obawia!

Michał wyszedł na korytarz. Barbara stała przy siedzeniu oknie i rozprawiała z jakimś barczystym młodzieńcem. Na widok Michała przyjaźnie pomachała ręką.

WOP-tel sprawdził wkładki paszportowe i dowody, później zjawili się celnicy. Michał nie podał deklaracji

celnych, tylko ustnie zgłosił wywoz przewidywanej na trzy osoby ilości konserw...

— A państwo państwo nie mają? — zapytał celnik.

— Nie. A może pan mi powie, w którym sklepie można nabyć?

— Najgorzej to z dziennikarzami — odpowiedział. — Poznał zawod Michała, gdyż uprzednio obejrzał jego dowód osobisty. — Przyjeżdżcie do nas służbowo to zobaczycie, jakie mamy kłopoty. A później piszcie zażalenie, że celnik taki, a taki nie zna się na przepisach. A jak tu raz jeden z prasy uiożł dzieńgę butelek rumuńskiego koniaku to co? Miałem przepuścić? Teraz w Rumunii koniak trochę podrożał, może się skończy szmugiel. Zresztą, co tam Polacy, sami Rumuni też się naucyli! Kiedyś za-trzymałem trzydzieści pięć butelek koniaku. Kiedy ten facet wracał, oddałem mu z powrotem. Niech pije u siebie kiedy mu tak smakuje. Ja tam panie woję naszą czystą.

— A pani — zwrócił się do Barbary — co wiecie? Proszę otworzyć walizeczkę.

Zaczął przewracać damskie fatalaszki.

— Czy ich trochę nie za dużo? Pani do Bulgarij czy ma też zamiar zatrzymać się w Rumunii?

— Tylko do Bulgarij. Ale przecież, panie celniku, ja nie będę codziennie w jednej bluzce paradować. Pomyślę, że biedna Polka przyjechała, nie ma w co się ubrać.

— Oj, widzę czasem te biedne Polki! Wiozą takie ciuchy, które chyba przed dziesięcioma laty miały ostatni raz na sobie. Wiem, że przecież w tym nie będą chodzić, ale co mam zrobić? Kwestionować? A niech sobie powymieniają na rumuńskie wino. Ostatecznie będą się przejmować drobiazgam? Da zobaczyć to pociągowej drodze, mam nadzieję, że przepiękne państwo znaję...

— A pani — zwrócił się do Barbary — co wiecie? Proszę otworzyć walizeczkę.

Zaczął przewracać damskie fatalaszki.

— Czy ich trochę nie za dużo? Pani do Bulgarij czy ma też zamiar zatrzymać się w Rumunii?

— Tylko do Bulgarij. Ale przecież, panie celniku, ja nie będę codziennie w jednej bluzce paradować. Pomyślę, że biedna Polka przyjechała, nie ma w co się ubrać.

— Oj, widzę czasem te biedne Polki! Wiozą takie ciuchy, które chyba przed dziesięcioma laty miały ostatni raz na sobie. Wiem, że przecież w tym nie będą chodzić, ale co mam zrobić? Kwestionować? A niech sobie powymieniają na rumuńskie wino. Ostatecznie będą się przejmować drobiazgam? Da zobaczyć to pociągowej drodze, mam nadzieję, że przepiękne państwo znaję...

— A pani — zwrócił się do Barbary — co wiecie? Proszę otworzyć walizeczkę.

Zaczął przewracać damskie fatalaszki.

— Czy ich trochę nie za dużo? Pani do Bulgarij czy ma też zamiar zatrzymać się w Rumunii?

— Tylko do Bulgarij. Ale przecież, panie celniku, ja nie będę codziennie w jednej bluzce paradować. Pomyślę, że biedna Polka przyjechała, nie ma w co się ubrać.

— Oj, widzę czasem te biedne Polki! Wiozą takie ciuchy, które chyba przed dziesięcioma laty miały ostatni raz na sobie. Wiem, że przecież w tym nie będą chodzić, ale co mam zrobić? Kwestionować? A niech sobie powymieniają na rumuńskie wino. Ostatecznie będą się przejmować drobiazgam? Da zobaczyć to pociągowej drodze, mam nadzieję, że przepiękne państwo znaję...

— A pani — zwrócił się do Barbary — co wiecie? Proszę otworzyć walizeczkę.

Zaczął przewracać damskie fatalaszki.

— Czy ich trochę nie za dużo? Pani do Bulgarij czy ma też zamiar zatrzymać się w Rumunii?

— Tylko do Bulgarij. Ale przecież, panie celniku, ja nie będę codziennie w jednej bluzce paradować. Pomyślę, że biedna Polka przyjechała, nie ma w co się ubrać.

— Oj, widzę czasem te biedne Polki! Wiozą takie ciuchy, które chyba przed dziesięcioma laty miały ostatni raz na sobie. Wiem, że przecież w tym nie będą chodzić, ale co mam zrobić? Kwestionować? A niech sobie powymieniają na rumuńskie wino. Ostatecznie będą się przejmować drobiazgam? Da zobaczyć to pociągowej drodze, mam nadzieję, że przepiękne państwo znaję...

(cda)